

SALMAN RUSHDIE

Wschód, Zachód

(Przełożyła Maria Gromkova)

Dla Andrew i Gillona

WSCHÓD

DOBRA RADA JEST CENNIEJSZA OD RUBINÓW

W ostatni wtorek owego miesiąca pierwszy poranny autobus, z zapalonymi jeszcze światłami, przywiózł pannę Rehanę pod bramę konsulatu brytyjskiego. Zatrzymał się, wzbijając tuman kurzu, który na chwilę przesłonił jej urodę. Był pomalowany w wielobarwne arabski, z przodu miał napis: PRZESUŃ SIĘ KOCHANIE, a z tyłu TA-TA-BATA oraz O.K. GOOD-LIFE. Panna Rehana oznajmiła kierowcy, że jego autobus jest przepiękny, więc wyskoczył, aby otworzyć jej drzwi, po czym, gdy wysiadała, zgiął się w teatralnym ukłonie.

Panna Rehana miała ogromne, czarne oczy, których blasku nie musiała podkreślać antymonem. Na ich widok doradca Muhamad Ali poczuł się znowu młody. W nasilającym się świetle dnia obserwował, jak kobieta podchodzi do bramy i zwraca się do brodatego posterunkowego w mundurze khaki ze złotymi guzikami i turbanie z pytaniem o godzinę otwarcia. Posterunkowy, zazwyczaj bardzo opryskliwy wobec kobiet, które we wtorki przychodzą do konsulatu, odpowiedział jej wyjątkowo grzecznie.

- Za pół godziny - mruknął. - Albo za dwie. Nie wiadomo... Sahibowie jedzą śniadanie.

Zakurzony plac między przystankiem i konsulem już roił się od kobiet, które przybywały tu we wtorki; niektóre miały zasłonięte twarze, kilka, jak panna Rehana, przyszło z odsłoniętym obliczem. Wszystkie były przestraszone, kurczowo trzymały się swoich wujów lub braci, którzy udawali pewnych siebie. Panna Rehana natomiast przybyła tu sama i wcale nie sprawiała wrażenia zaniepokojonej.

Muhammad Ali, który udzielał porad najbardziej zagubionym spośród wtorkowych interesantek, poczuł, że stopy same go niosą w stronę tej niezwyklej, czarnookiej, niezależnej dziewczyny.

- Panienko... - zagadnął. - Mniemam, że przyjechałaś po pozwolenie na wjazd do Londynu.

Stała na skraju placu, przy kramie z gorącymi daniami, i z zadowoleniem jadła pakorę z chili. Kiedy się odwróciła, by na niego spojrzeć, poczuł, że jej spojrzenie ma zły wpływ na jego układ trawienny.

- Tak.

- Czy pozwolisz, że udzielę ci porady? Za niewielką opłatą.

Uśmiechnęła się.

- Dobra rada jest cenniejsza od rubinów - odparła. - Ale niestety nie mogę ci zapłacić. Jestem sierotą, a nie jedną z tych bogatych dam.

- Zaufaj moim siwym włosom - nalegał Muhammad Ali. - Za moją radą stoi doświadczenie. Na pewno będziesz zadowolona.

Potrząsnęła głową.

- Mówię przecież, że jestem biedna. Tam stoją kobiety, którym towarzyszą mężczyźni, ich krewniacy. Każdy z nich sporo zarabia. Idź do nich. Dobra rada warta jest dobrej zapłaty.

Chyba oszalałem, pomyślał Muhammad Ali, słysząc swoją odpowiedź:

- Panienko, to przeznaczenie pchnęło mnie ku tobie. Tak musi być. Było nam pisane się spotkać. Ja też jestem biedny, ale od ciebie nie wezmę zapłaty.

Uśmiechnęła się znowu.

- Wobec tego muszę cię wysłuchać. Taki dar od losu przynosi szczęście.

Poprowadził ją do niskiego drewnianego biureczka w swoim zakątku w dzielnicy nędzy. Szła za nim, pogryzając pakorę, którą trzymała w torebce z gazety. Nie poczęstowała go.

Położył poduszkę na ziemi.

- Proszę siadać.

Posłuchała go. Sam usiadł za biurkiem, na wprost niej. Czuł na sobie zawistne spojrzenia mężczyzn, świadom, że sąsiedzi pozerają wzrokiem tę najnowszą młodą ślicznotkę, która zaraz wpadnie w sidła starego, siwego oszusta.

- Nazwisko?

- Rehana. Narzeczona Mustafy Dara z Bradfordu w Londynie.

- Bradfordu w Anglii - poprawił ją łagodnym tonem. - Londyn to tylko miasto, jak Multan albo Bahawalpur. Anglia to wielkie państwo. Nigdzie na świecie nie żyje tyle zimnych ryb co tam.

- Aha. Dziękuję - odparła z taką powagą, że nie mógł się zorientować, czy powiedziała to poważnie.

- Czy wypełniłaś już formularz? Pokaż mi go.

- W porządku? - Po raz pierwszy w jej głosie zabrzmiała nuta niepokoju.

Poklepał blat biurka tuż obok jej dłoni.

- Na pewno. Zaraz sprawdzę.

Jadła ostatni placek, podczas gdy on przeglądał papiery.

- Tip-top - oświadczył po dłuższej chwili. - Wszystko dobrze.

- Dziękuję za radę. - Zbierała się do odejścia. - Pójdę pod bramę i zaczekam.

- Co ty mówisz?! - krzyknął, klepiąc się dłonią w czoło. - Wyobrażasz sobie, że to takie proste? Ty im dasz dokumenty, a oni z szerokim uśmiechem wręczą ci pozwolenie? Panno Rehano, ostrzegam, tam jest gorzej niż na komisariacie.

- Doprawdy? - Jego przemowa wywarła na niej spore wrażenie. Teraz wysłucha go z uwagą, a on będzie mógł patrzeć na nią kilka minut dłużej.

Wziął głęboki oddech i wygłosił już wcześniej przygotowane przemówienie. Powiedział jej, że sahibowie traktują jak oszustki i szachrajki wszystkie kobiety, które przychodzą we wtorki, twierdząc, że są na utrzymaniu kierowców autobusów w Luton albo rezydentów z Manchesteru.

- Powiem im po prostu, że ja taka nie jestem!

Ten niewinny okrzyk sprawił, że Muhammad Ali aż zadrżał z lęku o tę dziewczynę. Przekonywał ją, że ona jest wróbelkiem, a ci mężczyźni to jastrzębie. Będą zadawali jej bardzo osobiste pytania, takie, jakie rodzony brat wstydziłby się zadawać damie. Będą pytali, czy jest dziewicą, a jeżeli nie jest, to zapytają o łóżkowe zwyczaje jej narzeczonego, o tajemne imiona, jakie sobie wymyślili.

Świadomie nie przebierał w słowach, ponieważ chciał zmniejszyć wstrząs, jakiego dziewczyna dozna, stykając się z tym lub z czymś podobnym. Zachowywała kamienną twarz, lecz jej dłonie zaczęły lekko drżeć na krawędzi biurka.

Mówił dalej:

- Będą cię wypytywali o liczbę pokoi w domu twoich rodziców, o kolor ścian i którego dnia opróżnia się wasz śmietnik. Każą ci powiedzieć, jak nazywa się wychowanica ciotki kuzyna matki twojego narzeczonego. Wcześniej pytali o to Mustafę Dara. Jeżeli raz się pomylisz, przepadłaś.

- Rozumiem. - W jej głosie wyczuł napięcie. - Jaką dasz mi radę, staruszkule?

W tym momencie Muhammad Ali zazwyczaj zniżał głos i szeptem informował zainteresowaną, że zna kogoś, pewnego zacnego człowieka, który pracuje w konsulacie, i że może on dostarczyć, za opłatą, wszystkie potrzebne dokumenty ze stosownymi pieczętkami. Interes szedł nieźle, ponieważ nierzadko kobiety płaciły mu nawet pięćset rupii lub dawały złotą bransoletę i odchodziły zadowolone.

Przyjeżdżały z miejscowości oddalonych o setki mil; normalnie wypytywał je o to, zanim zaczął im cokolwiek obiecywać, więc nawet jeżeli kiedyś zorientowały się, że je oszukano, nie wracały do niego. Jechały do Sargodhy albo Lalukhet i zaczynały się pakować. Nie wiadomo, kiedy odkrywały, że padły ofiarą oszusta, ale wtedy i tak było już za późno.

Życie jest brutalne, więc stary człowiek musi sobie jakoś radzić. Nie do niego należało współczuć kobietom, które zjawiały się tutaj we wtorki.

Niemniej jednak jego własny głos znowu go zdradził. Zamiast wygłosić to co zawsze, wyjawiał jego największy sekret.

- Panno Rehano... - zaczął głos. Muhammad Ali słuchał go, nie posiadając się ze zdumienia. - Jest pani kimś wyjątkowym, klejnotem... Dla pani zrobię coś, czego nie podjąłbym się dla własnej córki. Posiadam dokument, który rozwiąże wszystkie pani kłopoty.

- Jakież to czarodziejski dokument? - Już nie miał wątpliwości, że jej oczy kpią sobie z niego.

Głos przycichł do szeptu.

- Panno Rehano, to brytyjski paszport. Najprawdziwszy, wyśmienity. Mam zaufanego przyjaciela, który wpisze pani nazwisko i wklei zdjęcie... i hej, presto! Witaj, Anglio!

Tak powiedział!

W tym dniu, kiedy oszalał, wszystko stało się możliwe. Zapewne da jej ten paszport zupełnie za darmo, a potem będzie tego żałował przez cały rok.

Stary durniu, łajał sam siebie, najstarsi głupcy tracą głowy dla dzierlatek.

- Czy dobrze zrozumiałam? Proponujesz mi, bym popełniła przestępstwo...

- To nie przestępstwo - zaproponował. - To ułatwienie.

- ...i nielegalnie pojechała do Bradfordu w Londynie, potwierdzając złą opinię, jaką mają o nas sahibowie z konsulatu? To nie jest dobra rada, dziadku.

- Do Bradfordu w Anglii - poprawił ją ponuro. - Nie wypada przyjmować mojego daru z takim nastawieniem.

- A z jakim?

- Panienko, jestem biednym człowiekiem. Proponuję ci ten dar, ponieważ jesteś piękna. Nie odtrącaj takiego gestu. Przyjmij ten dokument. Albo go nie bierz, wracaj do domu i zapomnij o Anglii. Tylko nie wchodź do tego budynku i nie trać godności!

Ona jednak już wstała, odwróciła się od niego i szła w stronę bramy, gdzie tłoczyła się grupka kobiet. Posterunkowy w obelżywych słowach kazał im czekać cierpliwie, bo inaczej

w ogóle ich nie wpuści.

- To się wygłupiaj! - krzyknął za nią Muhammad Ali. - Co to może obchodzić mojego ojca?! (Czyli co jego to obchodzi.)

Nie spojrzała na niego.

- To przekleństwo naszego ludu! - wrzasnął. - Jesteśmy biedni, ciemni i za nic w świecie nie chcemy się niczego nauczyć!

- Ej, Muhammadzie Ali! - zawołała straganiarka sprzedająca orzeszki po drugiej stronie ulicy. - Jaka szkoda, że ona woli młodych!

Przez cały dzień Muhammad Ali stał przy bramie konsulatu. Nie raz upominał siebie: Odejdź stąd, stary głupcze, ta pani nie ma ochoty więcej z tobą rozmawiać. Mimo to, gdy wychodziła, zastała go przy bramie.

- Salaam, doradco - pozdrowiła go.

Była spokojna i w dobrym nastroju. O, Allachu, załatwiła! Sahibowie także utonęli w jej oczach i dali jej pozwolenie na wjazd do Anglii.

Posłał jej pełen oczekiwania uśmiech. Odwzajemniła mu się bez żadnego skrępowania.

- Panno Rehano, proszę przyjąć moje gratulacje w tej godzinie zwycięstwa.

Chwyciła go za ramię.

- Chodźmy. Kupię ci pakorę w podzięcie za radę i jako przeprosiny za to, że tak nieładnie się zachowałam.

Stali w wieczornym kurzu, tuż obok autobusu, który wkrótce miał wyruszyć w drogę. Kulisi mocowali maty na dachu, wędrowny handlarz usiłował pasażerom sprzedać romantyczne opowieści i przeróżne zioła: remedia na smutek. Panna Rehana i uszczęśliwiony Muhammad Ali jedli placki, siedząc na przednim zderzaku autobusu. Stary doradca zanucił półgłosem jakąś melodię z filmu. Upał zelżał.

- To były zaaranżowane zaręczyny - zaczęła niespodziewanie panna Rehana. - Miałam wtedy dziewięć lat, a Mustafa Dar miał już trzydzieści. Ojciec szukał kogoś, kto by się mną opiekował jak on sam. Jego zdaniem Mustafa zasługiwał na jego zaufanie. Potem rodzice umarli, u Mustafa Dar wyjechał do Anglii, obiecując, że mnie do siebie sprowadzi. To było bardzo dawno temu. Mam jego fotografię, ale to dla mnie obcy człowiek. Nawet nie poznałam jego głosu przez telefon.

To wyznanie niezmiernie zaskoczyło Muhammada Alego, lecz tylko pokiwał głową, starając się, by wyglądało to bardzo mądrze.

- No cóż... - zaczął. - Rodzice zawsze mają na względzie dobro swojego dziecka. Znaleźli dla ciebie dobrego i zanego człowieka, który dotrzymał obietnicy i wysłał ci zaproszenie. Teraz do końca życia będziesz mogła go poznawać... i kochać.

Zdziwił go jej smutny uśmiech.

- Dziadku, dlaczego już mnie spakowałeś i wysłałeś do Anglii?

Podniósł się zdumiony.

- Wyglądałaś na uradowaną... tak mi się przynajmniej wydawało... Wybacz, proszę... co się stało... odmówili ci?

- Na wszystkie pytania dałam złe odpowiedzi - wyjaśniła. - Znaki szczególne umieściłam na niewłaściwych policzkach, zupełnie zmieniłam wystrój łazienki, wszystko pomieszałam...

- Co teraz będzie? Jak się tam dostaniesz?

- Wrócę do Lahore, do mojego zajęcia. Pracuję we wspaniałej rodzinie jako opiekunka trzech przemiłych chłopców. Byłoby im smutno, gdybym odeszła.

- Tragedia! - lamentował Muhammad Ali. - O, jak żałuję, że nie skorzystałaś z mojej rady! Teraz to już, niestety, niemożliwe. Mają twój kwestionariusz, mogą wszystko sprawdzić, nawet paszport na nic się nie przyda. Na marne, wszystko na marne! A byłoby to takie proste, gdyby moja propozycja została przyjęta w odpowiedniej chwili.

- Chyba nie - powiedziała. - Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że nie masz powodu do smutku.

Nigdy jeszcze w swoim długim, trudnym i pozbawionym miłości życiu Muhammad Ali nie widział tyle szczęścia, ile w jej ostatnim uśmiechu, który obserwował z placu, dopóki autobus nie przesłonił go tumanem kurzu.

NAGRODA

Wszyscy byliśmy święcie przekonani, że dopóki wdowa po złodzieju trzyma go w swoich szponach, nie spotka go nic dobrego, ale on był durniem, prawdziwym dzieckiem osła, a kogoś takiego nie da się niczego nauczyć.

Miał szansę ułożyć sobie życie. Bóg dał mu iście boską urodę, a rodzony ojciec zapracował się dla niego na śmierć. Czyż nie zostawił mu nowiutkiej, pierwszorzędnej rikszy z siedzeniami pokrytymi plastykiem i innymi bajerami? Był to chłopak jak malowanie, miał fach w ręku, z czasem znalazłby sobie żonę, wystarczyło, żeby przez kilka lat zaoszczędził trochę rupii. Nic z tego. Musiał się zakochać we wdowie po złodzieju, zanim zarost pojawił mu się na brodzie, można nawet powiedzieć: zanim stracił mleczne zęby.

Obawialiśmy się o niego, ale kto dzisiaj słucha mądrości starych ludzi?

Kto ich słucha?

No właśnie: nikt, a już na pewno nie taki zakuty łeb jak rikszarz Ramani. Moim zdaniem zawiniła wdowa. Ja to widziałem, mówię wam, wszystko widziałem, aż w końcu stało się to nie do zniesienia. Siedziałem pod tym oto figowcem, paliłem tę oto fajkę i niewiele umknęło mojej uwagi.

Raz nawet próbowałem uchronić go przed losem, ale nic z tego nie wyszło...

Wdowa na swój agresywny sposób była niewątpliwie atrakcyjna, trudno zaprzeczyć, ale i do gruntu zepsuta. Miała z dziesięć lat więcej niż Ramani oraz pięcioro żyjących dzieci; dwoje jej umarło. Bóg raczy wiedzieć, co ten złodziej robił oprócz kradzieży i bachorów, bo nie zostawił jej złamanego grosza, nic więc dziwnego, że zainteresowała się Ramanim. Nie twierdzę, że w tym miasteczku rikszarz może sporo zarobić, ale dwa kęsy to więcej niż nic. A poza tym mało kto spojrzałby na wdowę po nicponiu.

Poznali się w tym miejscu.

Któregoś dnia Ramani przyjechał do miasta bez pasażera, ale jak zwykle był uśmiechnięty, jakby ktoś dał mu wspaniały napiwek, i nucił sobie jakąś melodię z radia. Włosy miał wypomadowane jak na ślub. Wcale nie był taki głupi, żeby nie zauważyć, że dziewczyny oglądają się za nim i wymieniają uwagi na temat jego smukłych i pięknie umięśnionych nóg.

Wdowa po złodzieju przysłała tego dnia do sklepu po trzy marne ziarenka grochu. Nikt

nie wiedział, skąd miała pieniądze, ale ktoś widział mężczyzn kręcących się w nocy koło jej nędznej budy, podobno był tam nawet sam sklepikarz, ale ja wolę się powstrzymać od komentarza.

Towarzyszyła jej cała piątka bachorów. Ni stąd, ni zowąd, jak gdyby nigdy nic, zawołała: „Ej, riksza!” Na cały głos, jak ostatnia zdzira. Chciała nam pokazać, że stać ją na riksze, jakby to kogokolwiek interesowało. Dzieciaki pewnie chodziły głodne z powodu tej przejażdżki, lecz ja uważam, że to była inwestycja, że wdowa już wcześniej umyśliła sobie ucześcić się Ramaniego. Cała szóstka wpakowała się do rikszy i odjechali. Musieli nieźle ważyć, bo Ramani sapał, żyły wystąpiły mu na łydkach, a ja wtedy pomyślałem sobie: Uważaj, synu, bo będziesz taszczył ten ciężar przez całe życie.

Od tej pory wszędzie widywano ich razem, bezwstydnie pokazywali się w miejscach publicznych. Cieszyłem się, że jego matka nie żyje, bo gdyby to zobaczyła, spaliłaby się ze wstydu.

W tamtych czasach Ramani niekiedy wychodził wieczorami na ulicę, żeby się spotkać z kumplami. Wydawało się im, że są strasznie sprytni, bo chodzili na zaplecze jadłodajni Irańczyka i tam pili zakazany alkohol. Wszyscy o tym wiedzieli, ale nikt nic nie mówił, bo jeżeli chłopcy rujnują sobie zdrowie, to jest to kłopot ich rodziców.

Było mi żal, że Ramani zadaje się z takim podłym towarzystwem. Znałem kiedyś jego rodziców. Lecz gdy go ostrzegłem, by się trzymał z dala od tych łobuzów, uśmiechnął się jak baran i powiedział, że bym się nie martwił, bo nic złego się nie dzieje.

Daj sobie spokój, pomyślałem.

Znałem tych jego kumpli. Wszyscy chodzili z opaskami Ruchu Młodych. Działo się to w czasach stanu wyjątkowego i ci jego kolesie nie byli nastawieni pokojowo. Chodziły pogłoski o różnych pobiciach, więc wołałem cicho siedzieć pod moim drzewem. Ramani wprawdzie nie nosił opaski, ale trzymał się z nimi, bo mu, durniowi, imponowali.

Te młokosy z opaskami zawsze mu nadskakiwały. Taki przystojny facet, mówili, przy tobie Śaśi Kapur i Amitabh wyglądają jak trędowaci, powinieneś jechać do Bombaju i dostać się do filmu.

Faszerowali go marzeniami, bo wiedzieli, że można z niego wyciągnąć forszę przy kartach i że będzie stawiał im drinki, chociaż wcale nie był od nich bogatszy. Od tych filmowych marzeń spuchła mu głowa, bo nic w niej nie było, i o to mam pretensję do wdowy, ponieważ była od niego starsza i powinna mieć więcej rozsądku. Raz dwa mogła sprawić, żeby

o tym wszystkim zapomniał, ale nie. Pewnego dnia usłyszałem, jak mówi na cały głos, tak żeby wszyscy słyszeli: „Jesteś urodziwy jak sam Kriszna. Nie jesteś tylko cały niebieski”. Na ulicy! Żeby wszyscy się dowiedzieli, że są kochankami! Nabrałem wówczas pewności, że dojdzie do jakiejś tragedii.

Kiedy wdowa kolejny raz zjawiała się w sklepiku, postanowiłem działać. Nie w swoim imieniu, lecz przez wzgląd na jego nieżyjących rodziców wziąłem na siebie ryzyko ośmieszenia przez tę... nie, nie nazwę jej, jest teraz gdzie indziej i tam się na niej poznają.

- Ej, wdowo! - rzuciłem.

Zatrzymała się jak wryta, wykrzywiając twarz, jakbym ją zdzielił batem.

- Podejź no tu.

Nie mogła odmówić, bo cieszę się w tym miasteczku pewnym szacunkiem. Mogła też sobie pomyśleć, że jak ludzie zobaczą, że rozmawia ze mną, przestaną ją ignorować. Zawczasu wiedziałem, że podejdzie.

- Chcę ci tylko powiedzieć - zacząłem z godnością - że Ramani jest bliski mojemu sercu. Ty zaś musisz poszukać sobie kogoś w swoim wieku, a byłoby jeszcze lepiej, gdybyś udała się do jakiejś aśramy dla wdów w Benaresie i resztę życia spędziła na modłach, dziękując Bogu, że palenie wdów jest zakazane.

Chciała mnie skompromitować, wrzeszcząc na mnie i obrzucając wyzwiskami. Krzyczała, że jestem wrednym staruchem, który już dawno powinien umrzeć, po czym oświadczyła:

- Dowiedz się, panie nauczycielu emerytowany, że ten twój Ramani prosił, bym za niego wyszła, ale mu odmówiłam, bo nie chcę mieć więcej dzieci, a poza tym jest młody i powinien mieć własne. Powiedz to wszystkim i przestań jątrzyć.

Przez jakiś czas nie zajmowałem się romansem Ramaniego z wdową po złodzieju, bo zrobiłem już wszystko, co było w mojej mocy, a w miasteczku działo się mnóstwo innych spraw interesujących osobę taką jak ja. Na przykład nasz lekarz gminny sprowadził wielką białą przyczepę i uzyskał pozwolenie, by ją ustawić pod figowcem. Każdego wieczoru wprowadzano do niej mężczyzn i coś tam z nimi robiono.

Wolałem nie przebywać w pobliżu, ponieważ przyczepę zawsze obstawiały te młokosy z opaskami, więc przeniósłem swoje nargile w inne miejsce. Docierały do mnie plotki na temat tego, co tam się dzieje, ale nie dawałem im posłuchu.

Właśnie wtedy, gdy stała w naszym miasteczku ta przyczepa, która pachniała eterem,

wyszła na jaw cała podłość wdowy. Ramani nagle zaczął rozpowiadać o swoim nowym marzeniu. Każdemu, kogo spotkał, opowiadał, że wkrótce otrzyma szczególny prezent od samego rządu w Delhi, a będzie to nowiusieńkie, najwyższej klasy radio tranzystorowe na baterie.

Od dawna wiedzieliśmy, że nasz Ramani nie ma piątej klepki, chociażby z tego powodu, że nosił się jak gwiazdor filmowy i w ogóle, więc większość z nas tylko wyrozumiale kiwała głowami i przytakiwała: „Tak, Ram, ty to masz szczęście” i „Dobry mamy rząd, bo rozdaje radia miłośnikom muzyki”.

Ramani mimo to obstawał przy swoim i był szczęśliwy jak nigdy przedtem. Jednak perspektywa otrzymania radia wydawała się niewystarczającym powodem takiego radosnego nastroju.

Wkrótce po pierwszej wzmiance o wymarzonym radiu Ramani i wdowa po złodzieju się pobrali. Wtedy wszystko stało się dla mnie jasne. Nie brałem udziału w zaślubinach... była to ze wszech miar ubożuchna uroczystość. Jakiś czas potem przywołałem do siebie Rama, widząc, że przejeżdża pustą riksą.

Kiedy przysiadł obok mnie, powiedziałem:

- Byłeś w tej przyczepie, synu? Co oni ci zrobili?

- Nie martw się - odparł. - Jest po prostu cudownie. Jestem zakochany, nauczycielu, a poza tym udało mi się sprawić, że mogłem poślubić moją kobietę.

Przyznaję, że poniosły mnie wówczas nerwy; byłem bliski płaczu, kiedy pojąłem, że Ramani dobrowolnie poddał się upokarzającemu zabiegowi, jakiemu poddawano mężczyzn siłą doprowadzanych do przyczepy. Zganilem go surowo:

- Ty durny idioto, pozwoliłeś, by ta kobieta pozbawiła cię męskości!

- To nie jest takie złe - powiedział Ram, mając na myśli nasbandi. - To wcale nie odbiera ochoty do miłości ani nic takiego, przepraszam cię, nauczycielu, że to mówię. Tylko nie ma z tego dzieci, a moja kobieta już więcej ich nie chciała, więc teraz wszystko jest na sto procent okej. Poza tym jest to w interesie naszego państwa - zaznaczył. - Niedługo przyślą mi radio.

- Radio... - powtórzyłem.

- Pamiętasz, nauczycielu? - Ram zniżył głos. - Parę lat temu, jak byłem mały, krawiec Laxman też poddał się tej operacji. Natychmiast dostał radio i całe miasteczko schodziło się, by go słuchać. To taka forma podziękowania od rządu. Fajnie będzie mieć coś takiego.

- Zejdz mi z oczu! - krzyknąłem zrozpaczony. Nie miałem serca powiedzieć mu tego, co wszyscy już wiedzieli: że ten pomysł nie wypalił, że go zaniechano, poszedł w niepamięć. Już

wiele lat temu.

Po tych wydarzeniach wdowa po złodzieju, która była teraz żoną Rama, rzadko pokazywała się w miasteczku. Bez wątpienia wstydziła się tego, do czego go zmusiła. Ramani zaś pracował teraz dłużej niż przedtem i ilekroć widział kogoś, komu wcześniej opowiadał o radiu, przykładął dłoń do ucha, jakby już w niej trzymał tę cholerną maszynkę. Naśladował przy tym audycje radiowe.

- Je Akaśwani hai! - wołał. - Tu Radio India! Podajemy wiadomości! W dniu dzisiejszym rzecznik rządu oświadczył, że radioodbiornik dla Ramaniego riksarza wkrótce zostanie mu przekazany! A teraz chwila muzyki. - Po czym przeraźliwym falsetem śpiewał piosenki Aśi Bhonsle albo Laty Mangeśkar.

Ram zawsze wierzył w marzenia. Nie raz był bliski zarażenia nas swoją wiarą w wymaginowane radio, byliśmy więc skłonni uwierzyć, kiedy tak jeździł po ulicach miasteczka, że radio jest już w drodze, a nawet że już przyszło i jest ukryte w jego dłoni przytkniętej do ucha. W końcu zaczęliśmy czekać na głos Ramaniego, dobiegający zza rogu albo z końca ulicy, na dzwonek jego roweru i komunikaty:

- Radio India! Tu Radio India!

Czas płynął. Ram wciąż jeździł z niewidzialnym radiem po miasteczku. Minął rok. Jego radiowy głos rozbrzmiewał na ulicach, lecz kiedy ponownie ujrzałem tego chłopaka, dostrzegłem w jego rysach coś nowego, grymas napięcia, jakby wykonywał ogromny wysiłek: większy niż jazda rikszą, niż wożenie w niej wdowy po złodzieju z piątką żyjących dzieci i duszami tej dwójki, która umarła. Sprawiał wrażenie człowieka, który całą swoją młodzieńczą energię skupia na fikcji mieszczącej się w przestrzeni między uchem i dłonią, jakby usiłował stworzyć prawdziwe radio nadzwyczajnym, może nawet ostatnim, wysiłkiem woli.

Czułem się zupełnie bezradny, wierzcie mi, ponieważ domyślałem się, że w to urojone radio Ram przelał wszystkie swoje obawy i żal z powodu tego, co zrobił. Gdyby pozwolił umrzeć temu marzeniu, musiałby stawić czoło ogromowi zbrodni, jakiej się dopuścił wobec własnego ciała, pojąć, że wdowa po złodzieju, jeszcze przed ślubem, zrobiła z niego złodzieja najgorszego i najohydniejszego, ponieważ zmusiła go, by ograbił samego siebie.

Po jakimś czasie biała przyczepa wróciła na dawne miejsce pod figowcem. Pojąłem wówczas, że sprawa jest przegrana, Ram bowiem niechybnie pójdzie tam po swoją nagrodę.

Nie przyszedł pierwszego dnia ani drugiego. Dowiedziałem się później, że nie chciał się

wydać zachłanny, nie chciał, aby lekarz pomyślał, że bardzo mu na tym radiu zależy. Poza tym liczył trochę i na to, że przyjdą do niego, żeby mu je wręczyć, może się nawet spodziewał niewielkiej uroczystości. Głupiec jest głupcem i trudno przewidzieć, co sobie umyśli.

Zjawił się tam na trzeci dzień. Dzwoniąc rowerowym dzwonkiem i nadając prognozę pogody, jak zwykle z dłonią przy uchu, zatrzymał się obok przyczepy. W rikszy, za jego plecami, siedziała wdowa po złodzieju, ta czarownica, która musiała przyjechać, żeby obejrzyć klęskę swojego towarzysza.

Nie trwało to długo.

Ram pozdrowił swoich kumpli z opaskami, którzy strzegli przyczepy przed gniewem ludu, i rozpromieniony wszedł do niej. Podobno - nie widziałem tego, ponieważ opuściłem scenę wydarzeń, aby oszczędzić sobie bólu - miał wypomadowane włosy i świeżo wykrochmalone ubranie. Wdowa nie ruszyła się z rikszy. Siedziała tam, osłoniwszy głowę czarnym sari, uczepiona swoich dzieci, jakby one mogły być jej podporą.

Po chwili z przyczepy rozległy się odgłosy utarczki, potem krzyki, aż chłopcy z opaskami zajrzeli do środka, by sprawdzić, co się tam dzieje. Wkrótce kolesie Rama wywlekli go stamtąd siłą: twarz miał umazaną czernidłem do włosów, a z ust spływała mu krew. Już nie trzymał dłoni przy uchu.

Ludzie mi powiedzieli, że ta czarna wdowa nie ruszyła się z rikszy nawet wtedy, gdy rzucili jej małżonka na ziemię.

Tak, wiem, jestem stary, moje poglądy są pomarszczone ze starości. Podobno sterylizacja i Bóg wie co jeszcze są niezbędne. Być może nie mam racji, obwiniając także wdowę - dlaczego nie? Być może należy odrzucić wszystkie poglądy starych ludzi, w porządku, niech tak będzie. Ale to ja opowiadam tę historię i jeszcze jej nie skończyłem.

Kilka dni po tym incydencie zobaczyłem, że Ramani sprzedaje riksę pewnemu muzulmańskiemu łachmycie, właścicielowi warsztatu rowerowego. Widząc, że mu się przyglądam, Ram podszedł do mnie.

Żegnaj, nauczycielu, wyjeżdżam do Bombaju, żeby zostać większą gwiazdą filmową niż Śaśi Kapur, a nawet sam Amitabh Baććan.

Powiedziałeś „wyjeżdżam”? Czyżbyś zamierzał jechać sam?

Wyprostował się. Wdowa po złodzieju już zdążyła go oduczyć szacunku dla starszych.
- Moja żona i dzieci jadą ze mną - oznajmił.

Była to nasza ostatnia rozmowa. Wyjechali tego samego dnia wieczornym pociągiem.

Kilka miesięcy później dostałem od niego pierwszy list. Rzecz jasna nie napisał go sam, bo pomimo moich wysiłków pisał bardzo słabo. Opłacił pisarza, co musiało go nieźle kosztować, ponieważ w życiu trzeba za wszystko płacić, a w Bombaju dwa razy więcej. Nie wiem, dlaczego odezwał się do mnie, ale tak właśnie było. Mam te listy i trzymam je na dowód; może jednak starzy ludzie do czegoś się przydają, a może uważał, że jestem jedyną osobą ciekawą wiadomości od niego.

Opowiadał o swojej karierze, o tym, że błyskawicznie odkryło go pewne wielkie studio filmowe, że teraz przygotowują go do roli wielkiej gwiazdy, że całe dni spędza w hotelu Sun'n'Sand na plaży Juhu, że kupuje przestronny dom w Pali Hill, dwupoziomowy, wyposażony w najnowszy system przeciwwłamaniowy; że wdowa po złodzieju ma się dobrze, jest zadowolona i tyje, a życie jest pełne blasku, sukcesów i alkoholu „niewiadomego pochodzenia”.

Piękne listy: przemawiała z nich jego wiara we własne siły, ale ilekroć je czytam, gdyż do tej pory zdarza mi się do nich powracać, przypomina mi się wyraz jego twarzy, zanim dowiedział się prawdy o tym wymarzonym radiodbiorniku, a także ten ogromny, maniacki upór, z jakim wyczarowywał rzeczywistość mocą niesłychanej wiary, z niczego, z rozgrzanego powietrza uwięzionego w dłoni przytkniętej do ucha.

WŁOS PROROKA

Na początku roku 19**, kiedy Śrinagar znalazł się w okowach zimy tak surowej, że ludziom kości pękały, jakby były ze szkła, pewien młodzieniec, na którego zaróżowionej mrozem twarzy lśnił niczym szron blask zamożności, wszedł do najpodlejszej i cieszącej się złą sławą dzielnicy, między grożące w każdej chwili zawaleniem budy z drewna i blachy falistej. Zaczął tam rozpytywać o zawodowego złodzieja, ponieważ pragnął skorzystać z jego usług. Młodzieniec ów miał na imię Atta, a rzezimieszki zamieszkujące tę część miasta z radością kierowały go w coraz to mroczniejsze zaułki, aż w końcu na podwórku zachlapanym krwią zarżniętego kurczęcia napadło go dwóch mężczyzn, których twarzy nie zdążył zobaczyć, zrabowało mu okazały zwitek banknotów, który nierozsądnie wziął ze sobą na tę samotną wyprawę, i poturbowało go tak, że mato ducha nie wyzionął.

Zapadła noc. Czyjeś anonimowe ramiona wyniosły go na brzeg jeziora, skąd jakaś łódź przewiozła go na drugą stronę, gdzie rannego i zakrwawionego porzucono nad kanałem prowadzącym do ogrodów Shalimar. O świcie przepływał tamtędy handlarz kwiatami. Wiosłując w lodowatej wodzie, zmętniałej jak miód dzikich pszczół, ujrzał leżącego młodzieńca, który właśnie się poruszył i zaczął jęczeć; jego śmiertelnie blada twarz wciąż lśniła bogactwem pod warstwą prawdziwego szronu.

Handlarz przycumował łódź i pochylając się nad wargami ofiary, zdołał poznać jego adres, mimo że nieborak ledwie mówił. Licząc na sporą nagrodę, kwiaciarz zawiózł Attę do wielkiego domu nad jeziorem, gdzie piękna, choć nie wiadomo dlaczego bardzo posiniaczona młoda kobieta oraz jej zrozpaczona, i równie urodziwa, matka - widać było, że obydwie ze zmartwienia nie zmrúżyły oczu przez całą noc - podniosły lament na widok młodzieńca, brata tej młodszej, spoczywającego nieruchomo wśród anemicznego, zimowego kwiecia.

Kwiaciarz istotnie otrzymał sositą zapłatę za milczenie i od tej chwili przestaje być istotny dla naszego opowiadania. Atta natomiast, który cierpiał straszliwe męczarnie z powodu odmrożeń i pękniętej czaszki, zapadł w śpiączkę, wobec której najznamienitsi lekarze w mieście okazali się bezradni. W tej sytuacji tym szczególniejszy może wydawać się fakt, że już tego samego wieczoru w owej podłej dzielnicy zjawił się drugi niespodziewany gość. Tym razem była to Huma, siostra nieszczęsnego młodzieńca; pytała o to samo, o co pytał brat, i z taką samą powagą:

- Gdzie można wynająć złodzieja?

Historia o bogatym głupcu, który zjawił się w poszukiwaniu złodzieja, obiegła już całą zakazaną dzielnicę, lecz tym razem młoda kobieta oświadczyła:

- Nie mam przy sobie żadnych pieniędzy ani biżuterii. Ojciec mnie wydziedziczył i nie zapłaci żadnego okupu, jeżeli zostanę porwana. Poza tym u mego stryja, zastępcy komisarza policji, zostawiłam list, który ma otworzyć, gdybym cała i zdrowa do rana nie wróciła do domu. Dowie się z niego szczegółów mojej tu wyprawy i poruszy niebo i ziemię, żeby ukarać moich krzywdzicieli.

Jej uroda, widoczna mimo rozległych sińców i śladów razów szpecących jej czoło i ramiona, w połączeniu z niezwykłością jej wizyty ściągnęła sporą grupkę gapiów. Ponieważ w ich opinii jej zwięzła wypowiedź uwzględniała niemal wszystko, nikt nawet nie próbował wyrządzić jej jakiegokolwiek krzywdy, mimo że dało się słyszeć chrapliwe okrzyki zdziwienia, że osoba, która zamierza wynająć przestępcę, zapewnia sobie ochronę wysokiego rangą funkcjonariusza policji.

Kierowano ją w coraz bardziej mroczne i podejrzane zaułki, aż dotarła do miejsca pogrążonego w głębokich ciemnościach, gdzie jakaś starucha o tak przenikliwym spojrzeniu, że tylko ślepiec potrafi tak patrzeć, przywołała ją do drzwi, z których buchało mrokiem niczym dymem. Huma zacisnęła pięści, rozkazała sercu, by zachowywało się normalnie, i ruszyła za staruchą w głąb posępnego domostwa

W mroku majaczył ledwie dostrzegalny płomyk świecy kierując się tą niepewną wskazówką (straciła bowiem z oczu staruchę), nagle uderzyła się boleśnie w golenie i aż krzyknęła, lecz natychmiast zagryzła wargi, wyrzucając sobie, i; zdradziła się z narastającego w niej przerażenia przed tym kimś lub czymś ukrywającym się w ciemnościach.

Okazało się, że wpadła na krawędź niskiego stołu, na którym paliła się świeczka. Za stołem majaczyła siedząc; na ziemi ogromna postać ze skrzyżowanymi nogami.

- Siadaj, siadaj - usłyszała spokojny, niski głos, a jej nogi, nie czekając na bardziej wylewne zaproszenie, sam się pod nią ugięły. Ściskając lewą dłoń w prawej, zmusiła się, by odpowiedzieć opanowanym tonem:

- Czy to pan jest tym złodziejem, którego poszukuję

Olbrzym poruszył się nieznacznie, po czym poinformował Humę, że działalność przestępcza w tym rejonie jest dobrze zorganizowana oraz centralnie zarządzana i że wszelkie

zamówienia na tak zwane prace dorywcze muszą przechodzić przez to właśnie pomieszczenie.

Poprosił ją, by przedstawiła szczegóły planowanego przestępstwa, dokładną listę przedmiotów, które należy wykraść, sprecyzowała proponowane bodźce finansowe włącznie z kosztami oraz by - wyłącznie dla potrzeb archiwum - umotywowała swoje zamówienie.

Słyszając to, Huma zebrała się w sobie, zarówno na ciele, jak i umyśle, i oświadczyła, że jej motywą są jej prywatną sprawą, a szczegóły wyjawi wyłącznie temu jednemu, wynajętemu złodziejowi. Niemniej jednak proponowane przez nią wynagrodzenie można określić jako „sowite”.

- Widzę, że trafiłam do swoistej agencji pośrednictwa pracy, powiem więc tylko, że za taką zapłatę chcę dostać największego szaleńca, któremu nic nie jest straszne, który nie lęka się samego Pana Boga: największego nikczemnika... inni nie wchodzą w rachubę!

W tej samej chwili rozbłysła lampa naftowa. W jej świetle Huma ujrzała siwego olbrzyma naznaczonego na lewym policzku odrażającą blizną w kształcie zapisanej nastalikiem litery *sín*. Dziewczynę ogarnęło przykre, dziwnie nostalgiczne przeświadczenie, że oto siedzi oko w oko z postrachem swojego dzieciństwa. Ich niańka bowiem, uprzedzając wszelkie akty nieposłuszeństwa ze strony Humy i Atty, zwykła była mawiać: „Uważajcie, bo was dziad zabierze... szejk Sín, król złodziei!”

Ten oto człowiek, siwy już wprawdzie, lecz z charakterystyczną blizną, to sławny zbir we własnej osobie... Zwariowała, czy może słuch ją myli: czyżby właśnie oznajmił, że ze względu na okoliczności on jeden może podjąć się tego zadania?

Zmagając się z nagle rozbudzonymi wspomnieniami, Huma uprzedziła tego budzącego grozę ochotnika, że tylko wyjątkowa waga sprawy i jej nader niebezpieczny charakter przywiodły ją bez eskorty do tej zakazanej dzielnicy.

- Ponieważ nie ma mowy, by ktokolwiek mógł się z tego w ostatniej chwili wycofać, teraz powiem panu wszystko, niczego nie tając. Jeżeli po tym, co powiem, nie zrezygnuje pan, zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by panu pomóc i uczynić go bogaczem.

Stary łotr wzruszył ramionami, pokiwał głową, splunął. Huma zaczęła swoją opowieść.

Sześć dni temu w domostwie jej ojca, Hashima, zamożnego lichwiarza, życie toczyło się normalnym trybem. Przy śniadaniu matka z czułością nakładała khićri na talerz małżonka, a rozmowę przy stole przeplatały zwroty pełne uprzejmości i troskliwości, czym szczyciła się ta rodzina.

Hashim często podkreślał, że chociaż nie jest człowiekiem religijnym, postawił sobie za

cel „żyć z honorem”. W jego przestronnej rezydencji położonej nad jeziorem wszystkich witano z tą samą uprzejmością i szacunkiem, nawet nieszczęśników, którzy przychodzili do Hashima, by wynegocjować dla siebie okruchy jego fortuny. Rzecz jasna brał od nich ponad siedemdziesiąt procent głównie po to, by - jak to tłumaczył swojej kochającej małżonce - „ludzie ci poznali wartość pieniądza. Jak się tego nauczą, wyleczą się z tej gorączki nieustannego pożyczania i pożyczania. Jeżeli mój plan się powiedzie, sam doprowadzę się do bankructwa!”

Swoim dzieciom lichwiarz i jego żona wpajali cnoty oszczędności, uczciwości oraz zdrową niezależność ducha. Również to dawało Hashimowi powód do zadowolenia.

Śniadanie dobiegło końca; członkowie rodziny życzyli sobie nawzajem kolejnego udanego dnia. Za kilka godzin ta atmosfera zadowolenia, bytu delikatnego jak porcelana, przepełnionego alabastrową wrażliwością, miała nieodwracalnie obrócić się wniwecz.

Lichwiarz przywołał swoją prywatną łódź i już miał do niej wsiąść, gdy zaciekawiony srebrnym błyskiem, dostrzegł niewielką ampułkę unoszącą się na wodzie między pomostem i burtą. Instynktownie wyłowił ją z zawiesistej wody.

Była to rurka z kolorowego szkła, oprawna w srebro. W środku Hashim wypatrzył srebrny medalion z ludzkim włosiem.

Zaciskając dłoń na tej wyjątkowej zdobyczy, mruknął do wiosłarza coś o zmianie planów, po czym pospiesznie udał się do swojego gabinetu, by za zamkniętymi drzwiami napawać się widokiem znaleziska.

Bez wątpienia lichwiarz Hashim natychmiast się zorientował, że ma przed sobą słynną relikwię proroka Mahometa, ów święty włos, którego kradzież, popełniona poprzedniego dnia w meczecie Hazratbal, wywołała wielkie larum w całej dolinie.

Zapewne rabusie, wystraszeni tym zamętem, nie kończącymi się procesjami, które zawodziły na wszystkich ulicach, zamieszkami, komplikacjami natury politycznej oraz wielką obławą policyjną, zarządzoną i prowadzoną przez ludzi, których kariery zawisły na tym jednym ludzkim włosie, przerazili się i cisnęli ampułkę w stężałe wody jeziora.

Obywatelski obowiązek nakazywał Hashimowi, który znalazł ją dzięki przychylności losu, zwrócić relikwię świątyni, przywracając zarazem zgodę i spokój w całym stanie.

Lichwiarz jednak miał inny zamysł. W gabinecie znajdowały się niezliczone dowody jego kolekcjonerskiej pasji. Stały tam gabloty z motylami z Gulmargu, kilkadziesiąt odlanych w różnych metalach miniatur legendarnej armaty Zamzama, przeróżne miecze, dzida Nagów,

dziewięćdziesiąt cztery gliniane wielbłądy, jakie kupuje się na peronach dworców kolejowych, samowary oraz cały miniaturowy zwierzynek w drewnie sandałowym, który ongiś obstalowano, aby dzieci miały czym się bawić podczas kąpieli.

- Wszak - przekonywał się Hashim - Prorok stanowczo by się sprzeciwił takiemu hołdowaniu relikwiom. Obmierzała była mu idea wynoszenia go do roli boga! Zatrzymując zatem ten włos z dala od oszalałych entuzjastów, przysłużyć się wszystkim bardziej - czyż nie? - niż gdybym go zwrócił. Naturalnie, nie chcę mieć tej ampułki z pobudek religijnych... Jestem człowiekiem światowym, z tego świata. Traktuję ją wyłącznie jako przedmiot świecki, nader osobliwy i wielkiej urody. Krótko mówiąc, bardziej zależy mi na tej ampułce niż na włosie. Podobno amerykańscy milionerzy kupują kradzione dzieła sztuki i trzymają je w ukryciu... oni by wiedzieli, co czuję. Muszę ją mieć!

Każdy kolekcjoner odczuwa nieodpartą potrzebę pokazania swoich skarbów chociażby jednej osobie, więc Hashim przywołał Attę, który bardzo się zaniepokoił, lecz zobowiązany przysięgą dochowania tajemnicy, wygadał się dopiero wtedy, gdy straszliwe komplikacje stały się nie do zniesienia.

Młodzieniec opuścił gabinet, pozostawiając ojca w samotności, lecz w licznym towarzystwie jego zbiorów. Hashim siedział wówczas w twardym fotelu z prostym oparciem i wpatrywał się w piękną ampułkę.

Wiadomo było, że lichwiarz nie jada lunchu, więc dopiero wieczorem służący wszedł do gabinetu, by poprosić chlebodawcę do stołu. Zastał go w tym samym miejscu, w którym siedział, gdy opuścił go Atta. Niby takiego samego, ale niezupełnie - teraz bowiem lichwiarz był spuchnięty i rozdęty. Oczy miał bardziej wytrzeszczone niż zazwyczaj i otoczone czerwonymi obwódkami, a kłykcie bielusińkie.

Wydawało się, że zaraz pęknie! Jakby za sprawą przywłaszczonej relikwii wypełniał go jakiś niewidzialny fluid, który lada chwila zacznie wypływać ze wszystkich otworów ciała. Służący musiał go doprowadzić do stołu. I wtedy nastąpiła eksplozja.

Nie bacząc, jaki skutek jego słowa wywrą na starannie pielęgnowanej i delikatnej organizacji życia rodzinnego, Hashim zaczął wylewać z siebie potoki ohydnych wynurzeń. Oniemiałe dzieci słuchały, jak ojciec zarzuca matce, że ich związek od lat jest jego największym utrapieniem. „Koniec z uprzejmością!”, grzmiał, „Koniec z zakłamaniem!”

Następnie, w tym samym duchu, poinformował zebranych o istnieniu metresy i o regularnych odwiedzinach u płatnych kobiet. Małżonce rzekł, by nie myślała sobie, że

zostanie jego główną spadkobierczynią: może liczyć co najwyżej na jedną ósmą spadku, zgodnie z prawem islamskim. Potem zajął się dziećmi. Krzycząc, zarzucał Atcie brak uzdolnień akademickich: „Zakuty łeb! Los mnie pokarał takim zakutym łbem!”, córce zaś wyuzdanie, ponieważ pokazywała się publicznie z odsłoniętą twarzą, co nie przystoi porządnej muzułmance. Zażądał, by natychmiast zamknęła się w pomieszczeniach dla kobiet.

Odszedł od stołu, nie tknąwszy jadła, po czym zasnął głębokim snem człowieka, któremu spadł kamień z serca. W jadalni zaś pozostały jego oszołomione i zapłakane dzieci oraz kolacja stygnąca pod czujnym okiem służącego.

O piątej następnego ranka lichwiarz kazał wszystkim wstać, umyć się i modlić. Od tej pory, po raz pierwszy w życiu, modlił się pięć razy dziennie, zmuszając do tego małżonkę i dzieci.

Przed śniadaniem Huma ujrzała, jak służba na polecenie ojca układa stos książek i go podpala. Oszczędzono jedynie Koran, który Hashim owinął jedwabną chustą i położył na stole w holu. Nakazał rodzinie, by każdy przez co najmniej dwie godziny dziennie czytał ustępy z tej księgi. Wyprawy do kina obłożył zakazem, a gdy Atta zapraszał do domu kolegów, Humie nie pozwalał opuszczać jej pokoju.

Rodzina żyła w stanie głębokiego wstrząsu i przerażenia. Niemniej jednak najgorsze było jeszcze przed nimi.

Po południu zjawił się pewien struchłały dłużnik, aby wyznać, że nie może spłacić należnej raty od odsetek, przy czym nierozważnie przypomniał Hashimowi, zapewne w nieco wyzywający sposób, o ostrej krytyce lichwy zawartej w Koranie. W ataku furii Hashim rzucił się na nieszczęśnika z bykowcem ze swojej okazałej kolekcji.

Tak niefortunnie się złożyło, że jeszcze tego samego dnia przybył drugi petent z prośbą o przesunięcie terminu spłaty. Widziano, jak wybiegł z gabinetu Hashima z wielką raną na ramieniu, ponieważ ojciec Humy wyzwał go od złodziei pieniędzy innych ludzi i usiłował uciąć mu prawą dłoń jednym z trzydziestu ośmiu noży kukri, które zdobiły ściany pokoju.

Taki gwałt zadawany niepisanimi zasadom domowej etykiety przeraził Attę i Humę. Gdy wieczorem matka starała się udobruchać małżonka, uderzył ją w twarz. Atta rzucił się matce na ratunek, ale i on oberwał.

- Od tej pory - grzmiał Hashim - zapanuje tu dyscyplina!

Małżonka lichwiarza dostała ataku hysterii, który trwał całą noc i cały następny dzień, co sprowokowało go do oświadczenia, że się z nią rozwiedzie, na co kobieta zamknęła się w swoim pokoju, po czym rozległa się stamtąd raga pochlipywań. W końcu Huma straciła cierpliwość i otwarcie zaatakowała ojca, oświadczając (kierowała się przy tym ową niezależnością ducha, do której sam tak ją zachęcał), że nie będzie zasłaniała twarzy, ponieważ pomijając wszystkie inne sprawy, jest to szkodliwe dla oczu.

W rezultacie ojciec błyskawicznie ją wydziedziczył i dał jej tydzień, by się spakowała i opuściła jego dom.

Czwartego dnia atmosfera strachu stała się w ich domu tak gęsta, że domownicy z trudem się w niej poruszali. Atta przemówił do swojej wstrząśniętej siostry:

- Staczamy się do rynsztoka... Lecz ja wiem, jak temu zaradzić.

Pod wieczór Hashim wyszedł z domu w asyście dwóch wynajętych zbirów, aby odebrać należne mu raty od dwóch niesolidnych klientów. Atta natychmiast udał się do gabinetu ojca. Jako syn i dziedzic miał własny klucz do jego sejfu. Wyjął ampułkę z kryjówki, wsunął ją do kieszeni spodni i zamknął skarbiec.

Dopiero teraz wyjawiał Humie, co ojciec wyłowił z jeziora Dal.

- Może oszalałem - krzyknął - może te przykre doświadczenia pomieszały mi zmysły, ale jestem przekonany, że ten dom nie zazna spokoju, dopóki nie pozbedziemy się tego włosa!

Siostra zgodziła się natychmiast, że włos należy zwrócić, więc Atta od razu udał się wynajętą łodzią do meczetu Hazratbal. Lecz gdy znalazł się w tłumie rozhisteryzowanych wiernych, który kłębił się dokoła zbezczeszczonej świątyni, stwierdził, że nie ma relikwii w kieszeni. Znalazł tam tylko dziurę, o której matka, zazwyczaj tak skrupulatna, musiała zapomnieć w natłoku wydarzeń.

Po chwili smutku Atta poczuł wielką ulgę.

Co by to było, dumął, gdybym zawczasu powiadomił mułłów, że mam go przy sobie! Teraz by mi nie uwierzyli... a ta tłuszcza niechybnie by mnie zlinczowała! Tak czy owak, nie ma go i kłopot z głowy! Po raz pierwszy od wielu dni poczuł, że jest zadowolony, i w tym nastroju wrócił do domu.

W holu zastał poturbowaną i zapłakaną siostrę, na piętrze niczym świeżo upieczona wdowa zawodziła w swojej sypialni matka. Poprosił Humę, by powiedziała, co zaszło. Odparła, że ojciec, wracając z tej brutalnej wyprawy w interesach, znowu dostrzegł srebrny błysk między łodzią i przystanią i po raz drugi wyłowił wędrującą relikwię, co doprowadziło go

do takiej wściekłości, że razami wydobyl z niej całą prawdę. Atta ukrył twarz w dłoniach i łkając, stwierdził, że ten włos ich prześladowe oraz że powrócił, by doprowadzić swoje dzieło do końca.

Teraz Huma szukała wyjścia z opresji.

Na jej ramionach zaczęły się pojawiać czarne i fioletowe sińce, a na twarzy czerwone plamy. Przytuliła brata i szepnęła mu do ucha, że postanowiła pozbyć się tego włosa „za wszelką cenę”, co powtórzyła kilka razy.

- Wykradzono go z meczetu - tłumaczyła - wobec tego można go również wykraść z tego domu. Ale musi to być prawdziwe włamanie, robota doświadczzonego złodzieja. My nie możemy tego zrobić, bo jesteśmy pod urokiem włosa... To musi być desperat, który nie obawia się więzienia ani uroków.

Niestety, dodała, tym razem będzie trudniej, ponieważ ojciec, wiedząc już o pierwszej próbie, bez wątpienia stanie się czujniejszy.

- Podejmie się pan tego zadania? - Huma, siedząca w pomieszczeniu oświetlonym świeczką i lampą naftową, zakończyła swoją opowieść jeszcze jednym pytaniem: - Czy w dalszym ciągu jest pan pewien, że ta sprawa pana nie przeraża?

Zbir, spluwając obficie, oświadczył, że nie ma zwyczaju okazywać referencji, jak kucharz albo ogrodnik, lecz zapewnia ją, że niełatwo go nastraszyć, a już na pewno nie taką dziecinadą jak uroki. Huma musiała zadowolić się tymi przechwałkami i przeszła do omawiania szczegółów włamania.

- Od nieudanej próby zwrócenia włosa do meczetu ojciec przed snem wkłada swój cenny skarb pod poduszkę. Śpi sam i ciągle zmienia pozycję. Wystarczy wejść do sypialni, nie budząc go, a on tak będzie się wiercił, że sama kradzież nie przysporzy żadnych trudności. Proszę z tą ampulką przyjść do mojego pokoju. - Podała mu plan domu. - Tam przekażę panu biżuterię należącą do mojej matki i moją własną. Zobacz pan... jest warta... dostanie pan za nią majątek... - Traciła panowanie nad sobą, widać było, że jest bliska omdlenia. - Dzisiaj w nocy! - wyrzuciła z siebie. - To musi się stać dzisiejszej nocy!

Zaraz po jej wyjściu ciałem starego zbira wstrząsnął ostry kaszel. Wielki szejk, król złodziei, pluł krwią do blaszanej puszki po tłuszczu roślinnym. Był chorym człowiekiem; z każdym dniem zbliżała się chwila, gdy jakiś młody pretendent do władzy wbije mu sztylet w brzuch.

Wieloletnia słabość do hazardu sprawiła, że był teraz tak samo biedny jak kilkadziesiąt lat temu, kiedy zaczynał jako terminator u pewnego kieszonkowca. Niezwykle zlecenie, które przyjął od córki lichwiarza, potraktował zatem jako okazję, żeby za jednym zamachem zgromadzić sumę, która pozwoli mu się wynieść z doliny i zapewnić sobie luksus godnego opuszczenia tego świata, bez narażania brzucha na podziurawienie.

W kwestii zaś włosa Proroka: no cóż, ani on, ani jego ślepa żona nigdy nie przepadali za prorokami... ta jedna cecha łączyła ich z ciężko doświadczoną rodziną lichwiarza.

Niemniej jednak nie należało ujawniać charakteru tego ostatniego skoku w jego życiu ich czterem synom. Ku jego zażenowaniu wszyscy wyrosli na bardzo religijnych ludzi i opowiadali nawet, że pewnego dnia udadzą się z pielgrzymką do Mekki.

- Bzdura! - drwił z nich rodzony ojciec. - Chciałbym wiedzieć, jak tam dojdziecie?

Wiedziony despotyczną miłością rodzicielską, zadbał bowiem o to, by im zapewnić wysokie, dożywotnie przychody, okaleczając ich tuż po urodzeniu. W ten sposób, wlokąc swe ciała po mieście, zarabiali krocie w branży żebraczej.

Dzieci zatem same sobie poradzą.

On zaś i jego żona wkrótce wyjadą ze szkatułami pełnymi klejnotów kobiet lichwiarza. Przeznaczenie w samą porę przywiodło tę piękną i posiniaczoną dziewczynę do tej części miasta.

Tej nocy ogromny dom nad jeziorem czekał pogrążony w ciszy. Wymarzona noc dla złodziei: chmury na niebie i mgły unoszące się nad lodowatymi wodami jeziora. Hashim spał spokojnie, jedyny w całym domu. W drugiej sypialni leżał Atta, w szponach śpiączki i ze skrzepem w mózgu. Czuwała przy nim matka, która rozpuściwszy siwe włosy na znak smutku, kładła mu na czoło ciepłe kompresy; ruchy jej dłoni wyrażały całkowitą bezradność. Huma zaś czekała w swoim pokoju pośród wypełnionych kosztownościami szkatulek swojej rozpacz.

W pewnej chwili pod jej oknem rozległ się cichy śpiew słowika. Zeszła na dół i otworzyła drzwi temu ptakowi z blizną w kształcie litery sín na twarzy.

Ptak bezgłośnie podążył za nią na piętro. Na szczycie schodów rozstali się, nie wymieniając ani jednego spojrzenia: każde poszło w swoją stronę korytarzem wspólnej intrygi.

Sín z łatwością wsunął się do sypialni lichwiarza, gdzie przekonał się o prawdziwości informacji Humy: Hashim leżał wyciągnięty w poprzek łoża, daleko od poduszki, pod którą znajdował się bezbronny skarb. Sin na palcach skradał się do celu.

W tej samej chwili w sypialni obok młody Atta nagle usiadł na posłaniu, czym niepomiarze przeraził matkę, i bez ostrzeżenia, pobudzony zapewne straszliwym naciskiem skrzepu na mózg, wrzasnął na cały głos:

- Złodziej! Złodziej! Złodziej!

Być może ten biedny mózg w ostatnich chwilach pomyślał o ojcu Atty, ale nie jest to pewne, ponieważ wykrzyczawszy te trzy słowa, młodzieniec opadł na poduszki i wyzionął ducha.

Matka natychmiast podniosła lament pod niebiosa, który zwiędził to, co zaczął krzyk Atty: jej zawrozenie dotarło przez ścianę do sypialni małżonka i poderwało go na równe nogi.

Gdy szejk Sin zastanawiał się, czy dać nura pod łóżko, czy rozwalić lichwiarzowi łeb, Hashim porwał szablę w pochwie z tygrysyj skóry, którą trzymał na podorędziu przy samym łóżku, i wybiegł z sypialni w takim pośpiechu, że nie zauważył rabusia ukrytego w mroku za łóżem. Sin schylił się szybko i wyciągnął z kryjówki ampułkę z włosem Proroka.

Tymczasem Hashim wypadł na korytarz z obnażoną szablą. Wywijał nią jak oszalały, w drugiej ręce trzymał pochwę. Biegła ku niemu jakaś zjawia, więc rozwścieczony pchnął ją w samo serce. Zapaliwszy lampę, pojął, że zamordował własną córkę. Ten straszliwy wypadek sprawił, że ulegając wyrzutom sumienia, lichwiarz skierował śmiercionośne ostrze przeciwko sobie, rzucił się na nie i odebrał sobie życie. Jego małżonka, jedyny członek rodziny, który ocalał, postradała zmysły na widok tej jatki i z tego powodu jej brat, zastępca komisarza policji, musiał ją oddać do zakładu dla obłąkanych.

Szejk Sin zorientował się błyskawicznie, że plan się nie powiódł.

Pożegnawszy się z marzeniem o szkatułkach, mimo że dzieliło go od nich zaledwie parę jardów, wyskoczył przez okno w sypialni Hashima i umknął, podczas gdy w domu rozgrywały się wcześniej opisane przerażające wypadki. Dotarł do swojej budy przed świtem, obudził żonę i przyznał się jej do porażki. Jest zmuszony, szepnął, na jakiś czas się ulotnić. Gdy zniknął, jego żona po raz pierwszy w życiu przejrzała na oczy.

Zgiełk w domu lichwiarza obudził służbę, a nawet nocnego stróża, który jak zawsze spał kamiennym snem na swoim łóżku polowym przy bramie wjazdowej. Ludzie ci dali znać na policję, zawiadomiono też zastępcę komisarza. Na wieść o śmierci Humy zrozpaczony Funkcjonariusz otworzył i przeczytał opieczętowany list, który mu wcześniej powierzyła. Natychmiast poprowadził oddział zbrojnych w pogrążone w wiecznym mroku zaułki

najpodlejszej i najbardziej zakazanej części miasta.

Język pewnego nieprzychylnego „szklarza” wyjawiał nazwisko współnika Humy; palec ambitnego „bankiera” wskazał z kolei dom, w którym ukrywał się Sín. I chociaż udało mu się przez strych wypełznąć na dach, dosięgła go tam kula wystrzelona przez samego zastępcę komisarza policji. Trafiła go prosto w brzuch i zmiotła z dachu prosto pod stopy rozwścieczonego wuja Humy.

Z kieszeni martwego rabusia wypadła ampułka z barwionego szkła, opleciona srebrnym filigranem.

Radio natychmiast podało informację o odnalezieniu włosa Proroka. Miesiąc później najwięksi mędracy tej doliny zebrali się w meczecie Hazratbal, by oficjalnie potwierdzić autentyczność relikwii. Po dziś dzień znajduje się ona w pilnie strzeżonych podziemiach meczetu, nad brzegami najpiękniejszego jeziora w samym sercu doliny, która ongiś bardziej niż jakiegokolwiek inne miejsce przypominała raj na ziemi.

Aby stosownie zakończyć tę opowieść, należy dodać, że gdy czterej synowie szejka przecknęli się ze snu w dniu jego śmierci, nieświadomi tego, że przez chwilę przebywali pod tym samym dachem co święty włos, spostrzegli, że stał się cud. Okazało się, że odzyskali władzę we wszystkich członkach, jakby im ich ojciec nie połamał w pierwszych godzinach życia. Wszyscy czterej wpadli z tego powodu we wściekłość, ponieważ cud umniejszył ich możliwości zarobkowe o, skromnie licząc, siedemdziesiąt pięć procent. Stali się bankrutami.

Jedynie wdowa po szejku miała pewne powody do radości, bo choć jej małżonek zmarł, odzyskała wzrok, dzięki czemu do ostatnich swoich dni mogła podziwiać uroki kaszmirskiej doliny.

ZACHÓD

YORICK

Bogu - lub zręczności dawnych wytwórców papieru - niech będą dzięki za zaistnienie na naszej ziemi welinu. Podobnie jak ta ziemia, na której go umieściłem (aczkolwiek jego kontakty z *terra firma* należą do rzadkości, ponieważ zazwyczaj występuje na półkach, drewnianych lub innych, zakurzonych lub utrzymywanych w idealnym stanie, w skrzynkach na listy, szufladach, starych kufrach, najsekretniejszych kieszeniach kochanków, w sklepach, segregatorach, na strychach, w piwnicach, muzeach, szafach pancernych, skarbcach, kancelariach prawniczych, na ścianach gabinetów lekarskich, w letnich nadmorskich domkach waszych ulubionych praciotek, w rekwizytoriach, bajkach, na konferencjach na szczycie, w knajpach i zajazdach, które żerują na naiwnych turystach)... podobnie zatem jak ta ziemia, powtarzam na wypadek, gdybyście stracili wątek, ten szlachetny materiał trwa... jeśli nie wiecznie, to przynajmniej dopóty, dopóki człowiek świadomie go nie unicestwi, gniotąc go, rwąc lub tnąc, za pomocą kuchennych nożyc lub silnych zębów, na podpałkę lub w wychodku. Wiadomo przecież, że człowiek czerpie tyle samo przyjemności z niszczenia ziemi, która go nosi póki życia, ile tego materiału (mam tu na myśli papier), na którym mógłby przetrwać wieki, gdy ta sama ziemia znajdzie się nad jego głową, zamiast pod stopami, oraz że pełna lista niszczycielskich strategii zajęłaby więcej stron niż mój przydział... Do diabła zatem z tą listą, wróćmy do mojej opowieści. Jak już próbowałem powiedzieć, przedstawia ona historię pewnego kawałka welinu: pokazuje zarówno jego własne dzieje, jak i tego, co na nim spisano.

Jest to oczywiście historia Yoricka, ten sam stary zapis, który blisko dwieście trzydzieści pięć lat temu wpadł w ręce pewnemu... o nie, całkiem niepewnemu Tristanowi, który (choć nie miał Izoldy) wcale nie był *triste* i był wspaniałym, szampańskim facetem. Moją natomiast własnością stał się w sposób zbyt skomplikowany, bym jego opisem miał zanudzać czytelnika. Bardzo obszerna to opowieść! Moim zamiarem wcale nie jest ją skracać, ale wręcz przeciwnie: rozwinąć, skomentować, uzupełnić, spalacyzować & zmanganizować. Daje ona bowiem wiele radości badaczowi, który posiadał umiejętność posługiwania się tak subtelnymi metodami. Pojawiają się w niej zakurzone i poplamione inkaustem postacie młodych żon, starych głupców, zdrady małżeńskie, zazdrość, zbrodnia, jad przeklętej hebony, egzekucje, trupie czaszki, a także dokładne wyjaśnienie, dlaczego posępny książę w Hamlecie Williama Szekspira wydaje się nieświadom prawdziwego imienia swojego ojca.

Do rzeczy zatem:

Otóż pod koniec panowania króla Danii Horwendillusa jego nadworny błazen, niejaki pan Yorick, wziął sobie za żonę prześliczną złotowłosą sierotkę imieniem Ofelia, i od tego zaczęły się wszystkie kłopoty... Cóż to ma znaczyć? Już ktoś mi przerywa? Czy nie mówiłem wam, że liryczny Hamlet, czyli Amlethus dla Duńczyków, niesłusznie uważa, że Duch także nosi imię Hamlet? Pomyłka tyleż niezwykła co niesynowska, więcej nawet: wręcz saksogramatyczna. Przeczy jej sam Saxo Grammaticus w swoich *Dziejach Duńczyków*... Jeżeli będziecie siedzieć cicho i pozwolicie mi mówić, dowiedziecie się, że nie jest to żadna pomyłka, lecz ukryty klucz, który otwiera drzwi do prawdziwej wymowy tej opowieści.

Powtarzam:

Horwendillus. Horwendillus Rex... Jeszcze jakieś pytania? To jasne, drogi panie, że błazen miał żonę. Nie występuje ona wprawdzie w sztuce wielkiego dramaturga, lecz sam pan przyzna, że kobiece wyposażenie jest nieodzowne dla mężczyzny, który pragnie zostać założycielem dynastii. Zna pan inny sposób? No, słucham? Czy ten stary błazen byłby zdolny dać początek tej linii, istnemu monologowi Yoricków, pośród których pastor owego Tristana stanowi zaledwie jedną sylabę? No, nareszcie! Mniemam, że nie potrzeba starych welinów, by dostrzec Tę prawdę... Jej imię? Drogi panie, musi mi pan zaufać. Na czym więc polega zagadka? Czy pan uważa, że Ofelia to takie cholernie niezwykle imię w krainie, gdzie mężczyźni nazywano Amlethusami, Horwendillusami oraz Yorickami? Otóż to. Idziemy dalej.

Yorick poślubił Ofelię. Przyszło na świat dziecko. Koniec dyskusji.

Wróćmy do tej Ofelii: była od niego dwakroć młodsza i dwakroć bardziej urodziwa. Nasuwa się natychmiast wniosek, że to, co nastąpiło potem, można przypisać dzieleniu i mnożeniu. W sumie tragedia arytmetyczna. Ponura historia, cmentarna.

Jak doszło do tego, że ten stary, zimny błazen znalazł sobie taką wiośnianą oblubienicę? Huraganowy wiatr z rykiem przetacza się przez wiekowy welin. To oddech Ofelii. Najsmrodliwsze wyziewy w państwie duńskim: ciepły fetor szczurzej wątroby, ropuszej szczyny, drapieźnych ptaków, zepsutych zębów, gangreny, porąbanych ciał, palonych czarownic, rynsztoków, sumień polityków, nor skunksów, grobowców i wszystkich zabelzebubionych kotłów piekielnych! Ilekroć ta młodziutka ślicznotka, której doskonale krucha uroda wszystkich wzruszała do teź, odważyła się otworzyć usta... robiło się dokoła niej pusto co najmniej w promieniu pięćdziesięciu stóp. W ten oto sposób nic nie stało na Yorickowej drodze do małżeństwa: biedny błazen musi brać taką żonę, jaka mu się nawinie. Zalecał się do niej z drewnianą klamerką na nosie. W dniu zaślubin król, który kochał Yoricka,

wręczył mu bardzo stosowny prezent: parę srebrnych zatyczek do nosa. Tak było: najpierw z klamerką, potem z zatyczkami nasz zakochany błazen niewątpliwie prezentował się, jak na błazna przystało.

Tę sprawę mamy już wyjaśnioną.

Wchodzi królewicz Amlethus ze szpicrutą.

*Scena przedstawia skromną sypialnię
w Elsynorze. Yorick i jego małżonka śpią twardym snem.*

*Na fotelu leżą w nieładzie: czapka, dzwonki, strój
błazeński etc. Nieopodal uśpione niemowlę. Wyobraźmy
teraz sobie Hamleta-pacholę, jak skrada się do łóża,
zbiera siły, kuca i skacze!*

YORICK

budzi się

O, a! Cóż to za pelioński sukinsyn spada z Ossy na moje plecy z zamiarem złamania mi kręgosłupa?!

...Teraz sam sobie przerwę, słyszę bowiem jakąś fałszywą nutę. Czy ktokolwiek, komu podczas głębokiego snu wskakuje na plecy siedmioletni królewicz, byłby w stanie posłużyć się metaforą oraz nawiązać do czasów antycznych, jak w tym tekście? Być może mój welin nie jest dostatecznie wiarygodny w tej kwestii, a może duńskie błazny były wyjątkowo uczone. Niektóre sprawy na zawsze pozostaną tajemnicą...

(Revenons à nos moutons.)

HAMLET

Yoricku, dzień się budzi! Powitajmy świt śpiewem.

OFELIA

na stronie

Małżonek nie przepada za tym królewiczem. Rozpaskudzony bachor, którego los pokarał bezsennością, za co my musimy cierpieć. Tak wygląda nasze przebudzenie każdego

ranka: raz królewskie garści szarpią nas za włosy, kiedy indziej pośladki następcy tronu galopują na naszych karkach. Gdyby to było moje dziecko... Dzień dobry, słodki królewiczu!

HAMLET

Żebyś wiedziała, Ofelio. Poranny śpiew, Yoricku! No, dalej!

YORICK

To zajęcie dla ptaków. Prawdę powiedziawszy, jestem na to za stary. Wiek sprawił, że przestałem śpiewać, a tylko kraczę jak wrona albo pohukuję jak sowa.

HAMLET

Milcz! Nie chcę tego słyszeć. Twój królewicz rozkazuje ci śpiewać.

YORICK

Wysłuchaj mnie jednak. Wiek podeszły, Hamlecie, jest niczym zachodzące słońce. W moich schyłkowych latach nie wypada mi chwalić wschodzącego dnia.

HAMLET

Dosyć. Wstawaj. Śpiewaj. Wskoczę ci na plecy i będę słuchał, jak zawodzisz.

OFELIA

na stronie

W wieku siedmiu lat jest jak stary człowiek z morza. Jaki będzie za lat dwadzieścia?

YORICK

śpiewa

Młodym będąc, kochałem, kochałem,

O, czas poganiać chciałem,

O, żadnych trosk nie znałem,

Lecz starość podstępna porwała mnie w szpony...

HAMLET

Przerwij, Yoricku, to żalosne miauczenie. Zamilcz natychmiast!

YORICK

Uprzedzałem cię.

HAMLET

Basta! Opowiedz mi jakąś krotkochwilę. Tak, o jęczącym kocie, o takim, jakiego przed chwilą tak udatnie naśladowałeś.

YORICK

na stronie

Teraz muszę odpokutować za to, że mu uległem.

głośno

Ten stary koń, którego tak lubisz ujeżdżać, jeszcze jest całkiem rześki. Powiedz mi zatem, Hamlecie, dlaczego koty mają dziewięć żywotów?

HAMLET

Nie mam pojęcia. Wiem za to, dlaczego mają dziewięć ogonów. Miej się na baczności, jeżeli ta zagadka okaże się mierna.

OFELIA

na stronie

Królewicz jest bardzo bystry, a biedny Yorick z każdym dniem staje się coraz bardziej ociężały.

YORICK

Wysłuchaj zatem odpowiedzi. Wszystkie koty spoglądają na królów: z jednej strony wpatrywanie się w monarchę oznacza oddanie swojego losu w jego ręce, z drugiej zaś takie życie często wymyka się z tych dłoni i ginie. Policz, Hamlecie, przerwy na swej dłoni, te między palcami, Na dwóch dłoniach masz osiem przepaści, w które życie może runąć. Potrzeba zatem dziewięciu żywotów, aby został jeszcze jeden. I dlatego nasz kot, wpatrzony w króla, musi mieć ich dziewięć.

OFELIA

Mężu, cóż za wspaniały koncept!

HAMLET

Pora na tańce! Porzuć błąznowanie i razem oddajmy się płąsom.

YORICK

Z tobą na grzbiecie?

HAMLET

Owszem. Muszę się zastanowić, czego chcę.

YORICK

na stronie, tańcząc

Ty masz wszystko, Hamlecie, lecz Yorick czuje, że czegoś ci brak.

Rozmowę tę prowadzono ze srebrnymi zatyczkami w nozdrzach: książęcych i błazeńskich! Dziecię kwiliło w kołysce, protestując w równej mierze z powodu zaszpunktowanego nosa co świstów szpicruty, którą królewicz zachęcał swojego dwunoga do płasów. Jaki był ten rozjuszony książę? Na pewno nienawidził Ofelii. Lecz za co? Za morowy oddech? Za jej władzę nad błąznem, który czcił każdą jej rzęsę? Czy z powodu różnych krągłości rysujących się pod jej koszulą, jej ciała, które należało do kogoś innego? Tego siedmiolatka fascynowało coś w tej dziewczynie, ale nie potrafił tego nazwać. Cielęca miłość zmieniła się wobec tego w nienawiść.

Może złożyły się na nią wszystkie te przyczyny: fetor Ofelii, kradzież Yorickowego serca (każdy głupiec wie, że serce błązna należy do władcy, bo któż inny oddałby mu swoje serce?) oraz, owszem, jej uroda. Pozwólmy sobie na zachłanność i przełknijmy tę trójcę w całości.

Nie oceniamy Hamleta zbyt surowo. Był samotnym dzieckiem, dla którego Yorick był jednocześnie ojcem i sługą, czyli najlepszym, idealnym ojcem, ponieważ każdy syn chciałby uczynić ojca swoim niewolnikiem. Dla tego bladego książątka Yorick, który śpiewa, błąznuje i tańczy, jest uosobieniem poskromionego Horwendillusa. Amlethus był maminsynkiem.

Welin... może raczej inkaust albo wręcz palce, które prowadziły pióro... lecz ta dłoń już dawno obróciła się w proch, a nie należy mówić źle o zmarłych - O, *****! Tekst staje się chaotyczny, z makabryczną dokładnością przedstawia wszystkie wykroczenia, których książę dopuścił się przeciwko błąznowi: każdy ślad królewskiego buta na jego pośladekach, włącznie z

wyszczególnieniem przyczyny, skutku, miejsca, stroju, okoliczności towarzyszących (deszcz, słońce, burza, gradobicie i inne funkcje natury; lub nieobecność matki Hamleta, będąca skutkiem tyranii owej natury, nawet wobec królowych), opisy klęsk błazna i kępy trawy, w której wylądował jego nos, oraz poszukiwań srebrnych zatyczek - jednym słowem, pożałowania godny brak zwięzłości, który niezwłocznie postaramy się naprawić. Myślę, że się rozumiemy. Dalsze mozolne roztrząsanie byłoby naśladowaniem księcia, który ćwiczył Yoricka kijem, batem i nie wiadomo czym jeszcze, wówczas jednak niebaczenie potraktowalibyśmy czytelnika (sami nie będąc księciem) jak błazna. (Skoro nie jestem księciem, to skąd się wzięło to natrętne „my”, skąd ta liczba mnoga w purpurze, w którą przystroiły się moje zdania? Precz z nią! Wracam do pospolitego... niepospolitego, bo cyklopicznego „ja”.)

Powołam się na jedno wydarzenie.

Pewnego razu w trakcie ujeżdżania Yoricka Hamlet rozdzielił swą szpicrutą mięsiste kurtyny policzków błazna, obnażając kościstą scenę w głębi. Można mniemać, że był wrażliwym książątkiem... Czytelniku, na widok nagiej czaszki książę Danii zwymiotował na pobrzękującą czapkę Yoricka.

Starałem się przekazać subtelną opowieść natury osobistej, pełną obserwacji psychologicznych oraz bardziej konkretnych danych. Nie mogę już jednak dłużej ukrywać tych stron przed światem, ponieważ to, co skończyło się tragedią, zaczęło się od polityki. (Nie powinno to dziwić nikogo.)

Proszę sobie wyobrazić ucztę w przecudnym Elsynorze: głowy dzika, baranie oczy, świńskie ryje, gęsie piersi, cielece wątroby, flaki, rybi mlecz, sarnie udźce, świńskie ratki (oto anatomia stołu; gdyby z dań tych zrobić jedno jadalne zwierzę, mielibyśmy na stole monstrum dziwniejsze od hipogryfa lub ichtiocentaury!). Horwendillus i jego Gertruda podejmują dzisiaj Fortynbrasa w nadziei, że uda się im powściągnąć jego zachłanność terytorialną, zaspokajając jego żołądek o podobnie ekspansywnych gustach. Fortynbras powinien się zadowolić wykończeniem wcześniej opisanego monstrum, co jest strategią o wiele słuszniejszą i zdecydowanie smaczniejszą niż wojna.

Czy nie można by pomyśleć, że na widok stołu uginającego się pod ciężarem dań z tego poćwiartowanego, przerażającego urozmaiconego i niezwykłego potwora oraz wyobrażenia owej bestii w całości: z porożem na ogromnej głowie indyka, z kadłubem pokrytym łuskami, z którego wyrastają kosmate nogi zakończone kopytami, F. stracił ochotę na ten bój? (Chociażby

z obawy przed konfrontacją na duńskich polach bitew z tym plemieniem myśliwych, którzy potrafią zabić tak dziką bestię.) I że w rezultacie poskromił swoje zapędy wobec samej Danii?

Sprawa ta nie ma żadnego znaczenia. Zatrzymałem się przy tej uczcie jedynie po to, by wyjaśnić, dlaczego królowa Gertruda, zbyt pochłonięta dyplomacją, osaczona przeróżnym mięsiwem, nie mogła pójść na górę, by powiedzieć synowi dobranoc.

Muszę pokazać Hamleta, który cierpi na bezsenność - pokażcie mi człowieka, który potrafi przedstawić nieobecność... snu, oczywiście, i matczynego całusa na policzku. Nie pocałowany policzek bowiem bardzo przypomina policzek pozbawiony nadziei na całusa. Można wszakże pomyśleć, że ułożony w pozycji horyzontalnej chłopiec, który przewraca się z boku na bok miotany objawami przypisywanymi insomnii, cierpi z powodu inwazji pcheł lub gorączki, dąsa się, bo nie dopuszczono go do stołu dorosłych, lub ćwiczy pływanie w morzu pościeli; B. raczy wiedzieć co jeszcze, bo ja rezygnuję. Niemniej jednak, jak powszechnie wiadomo, nieobecność wzmagą uczucie. Amlellhus więc wstaje i skrada się korytarzem (jeżeli założymy, że jedna kropka odpowiada zetknięciu jednego paluszka z posadzką, wygląda to tak:/...../...../...../...../ etc., etc.) ...aż dochodzi do komnaty Gertrudy, wpada do środka i postanawia na matkę poczekać, aby otrzymać to, czego brakuje jego policzkowi: matczynej pocałunek zapomnienia, po którym zaśnie.

(Był to jednak fatalny plan.)

By przedstawić ciąg dalszy, posłużę się pantomimą (obawiam się, że niewielki zapas papieru może się wyczerpać przed końcem opowieści, aby więc zrekompensować swe wcześniejsze gadulstwo, ukazę moje postacie, posługując się pantomimą, żywymi obrazami i innymi metodami przyspieszania, całkowicie nieodpowiednimi dla tak tragicznej opowieści. Nie mam innego wyjścia. Mój dotychczas rozwlekły kaprys zmusza mnie jednak, bym pokazał tych dawnych błaznów. Tak oto pośpiech pospołu z naszym nieuchronnym końcem z nas wszystkich czynią Yoricków).

Hamlet przerażony:

- Słyszę głosy pod drzwiami! Nie tylko matki, ale i jakiegoś pijaka! Muszę się schować! Lecz gdzie?! Arras! Ani chwili do stracenia! - Chowa się. (Można zatem powiedzieć, że w późniejszym życiu zabił sam siebie, snujące się tutaj wspomnienie dziecięcego ja, posiwiące i formą przypominające Poloniusza.)

Ach, cóż on słyszy! Pochrząkiwania i ryki mężczyzny! Piski i jęki matki - słabe macierzyńskie krzyki! Któż to zagraża królowej? Książę odważnie zerka spoza zasłony

i widzi...

...własnego ojca, który rzuca się na kobietę. Pod sapiącym niczym prosię Horwendillusem królowa Gertruda łka i miota się, po czym milknie. Hamlet słyszy jej zduszony oddech, jakby ktoś trzymał ją za gardło.

Słyszy w jej głosie śmierć i z wnikliwością siedmiolatka dochodzi do wniosku, że ojciec chce ją zamordować.

Wyskakuje zza kotary.

- Przestań! Przestań!

Ojciec odrywa się od ofiary! Matka przykłada dłoń do szyi, potwierdzając obawy Hamleta! Ta scena nie przedstawia żadnych tajemnic. Uratowałem jej życie, myśli dumny z siebie Amlethus. Lecz pijany Horwendillus chwyta syna & łoł mu skórę, & tłucze go, raz & jeszcze raz. Dziwne to lanie, bo w ten sposób ojciec księżęciu coś do głowy wbija - mimo że zazwyczaj kara ma coś z niej wybić.

Cóż to takiego? Nic innego przecież jak nienawiść i mroczne sny o zemście.

Hamlet na osobności: monolog ten zostawiam jednak cięższym piórom. Mój welin pomija milczeniem uczucia Hamleta posiniaczonego i zamkniętego w swojej komnacie. Musicie sami wyimaginować sobie jego myśli na podstawie jego czynów.

Jeśli wola, można sobie wyobrażać, że nawiedzały go duchy. Zjawia Horwendillusa staje mu przed oczami i dusi królową. Oczy te, które ze strachu mają wizjonerską moc, obserwują tysiąc i więcej razy, jak przerażający upiór morduje Gertrudę: raz rzuca się na nią, by ją udusić w kąpielu (bąbelki piany pękają na jej wargach), kiedy indziej, gdy królowa siedzi przed zwierciadłem, tak że ogląda własny zgon.

Czytelniku, przyjrzyj się snom Hamleta, spójrz jego oczami na tę zjawę, jej palce na szyi matki: w ogrodzie, w kuchni, w salach balowych i szklarniach, w fotelach, łóżkach, na stołach i podłogach, przy świadkach i bez nich, za dnia i w nocy, przed i po obiedzie, gdy królowa śpiewa i gdy milczy, gdy jest odziana i naga, w łodzi, na koniu, na tronie, na nocniku... pojmiesz wówczas, dlaczego księżę nie widzi w niedawnej „odsieczu” końca, lecz zaledwie początek pełnego troski niepokoju, dlaczego nieustannie łamie sobie głowę, szukając jakiegoś skutecznego sposobu, by pozbyć się tego lęku. Tak rodzi się intryga poczęta przez potrzebę wynikającą z nienawiści; impulsem była królewska szpicruta, która smagała jego królewskie pośladki, wymierzając im takie yorickowanie, jakim często obdarzał błazna.

Intryga zaczyna się koncentrować wokół Yoricka: rozgoryczony Hamlet użyje błazna jako narzędzia zemsty.

Widzimy teraz, jak łączą się dwie nienawiści: w umyśle Hamleta wściekłość złącza

(można by powiedzieć: poślubia) Ofelię z królem. Książę dochodzi do wniosku, że jego wielki gniew może zabić obydwie ptaszki (jest to bowiem gniew Meduzy, który potrafi yorickowate ciało przemienić w granit).

W końcu słyszymy, jak książętko, chodząc dookoła komnaty, cedzi przez zęby ponurą zagadkę:

*Ni ciecz-to, ni materia stała, ni powietrze lotne.
Smaku, zapachu i wymiaru całkiem pozbawione,
Szlachetnym i nikczemnym celom służyć może,
Do ucha zaś je komu zadaj, wnet zimny, niebożę.**

Gratuluje. Twoja wyobraźnia, czytelniku, w której wylęgły się wszystkie te mroczne domysły (ja bowiem przysięgłem milczeniu), okazała się bardziej płodna i przekonująca od mojej.

Twoje domysły są tak akuradne, że niewiele pozostało mi do dodania. Mogę tylko wyprowadzić Hamleta i Yoricka, tego pierwszego na grzbiecie tego drugiego, jak to mają w zwyczaju, na plac pod Elsynorem. Tam też młody książę wlewa do błaznowego ucha magiczną truciznę, która sprawia, że Yorick doznaje błazeńskich urojeń.

Rozumiesz już wszystko. Zjawia się duch żyjącego ojca Hamleta, aby nękać biednego Yoricka; ten sam jad wywołuje drugiego żywego ducha: Ofelię, żonę Yoricka, odzianą niedbale. Jej ciało w przejrzystym, ektoplazmatycznym przepychu splata się z ciałem króla!

Cóż to za książęca trucizna?

Rozwiąż tę zagadkę, czytelniku, a będziesz wiedział... Nie warto, sam ci to powiem... Było to SŁOWO.

O, śmiercionośny jademie! Tak niepozorny, a jakże zdradliwy, nie ma na cię antidotum. Krótko mówiąc, Hamlet wmówił błaznowi swojego ojca, że Horwendillus i Ofelia, że pani Yorickowa i król... Nie, nie odważę się wymówić tego okropnego słowa określającego taki postępek, chociaż w rzeczywistości nikt się go nie dopuścił! A może (w tym miejscu papier jest zamazany dawno wyschłymi łzami lub inną słoną cieczą) okrutny chłopiec przedstawił „dowody”: złote zatyczki do nosa, zawinięte w podrobiony *billet doux*? A może w chusteczkę? To nieistotne. Stało się: Yorick jest głupcem zwielokrotnionym. Zawodowy błazen został

* Przekład M. Słomczyńskiego, W. Shakespeare, Tragiczna historia Hamleta księcia Danii, Wydawnictwo Literackie 1978.

podwójnym głupcem, ponieważ dał się księciu wystrychnąć na dudka oraz (bo wydawało mu się, że i domniemani kochankowie mają go za durnia) wyszedł na osła o najbardziej głupkowatej aparycji z powodu rogów sterczących między uszami.

Najdziwniejsze, że (oto najmroczniejsze jądro tej sprawy) zostając Błaznem Faktycznym, poświęcił swoje przywileje Błazna Zawodowego. Błazen bowiem należał do szczególnego gatunku trefnisiów, któremu strój błazeński dawał przywilej mówienia rzeczy mądrych, które bawią, głoszenia prawdy bez ryzyka utraty głowy, na której pobrzękiwały dzwoneczki. Nadworni trefnisie rzeczywiście odznaczał się mądrością, wielką mądrością, ponieważ wiedzieli, w jakich żyją czasach. Tym razem jednak nasz mądry Yorick zmienia się nie do poznania: otumaniony przez księcia, zaczyna odgrywać rolę głupca - robi to najlepiej, jak potrafi, czyli wygłasza tyrady i grzmi, z całą powagą pewnego swych podejrzeń zazdrosnego małżonka.

Taki też był zamiar Hamleta: doprowadzić błazna do zgubnego szaleństwa. Jak już mówiłem, widział w trefnisiu swojego drugiego, błaznującego ojca: teraz ten zastępczy ojciec, zatruty jadowitym słowem, staje przeciwko królewskiemu rodzicowi.

Oto, co było dalej:

Horwendillus śpi samotnie w swoim Getsemani. Wchodzi Yorick z fiolką trucizny. Jad, który Hamlet wlał mu do ucha, przeciekł w tajemniczy sposób do buteleczki. Teraz znalazł się w królewskim uchu. Tak oto mamy nieżywego Horwendillusa. Ofelia natomiast, oskarżona i odtrącona przez Yoricka, odchodzi od zmysłów i błąka się po pałacu w aurze ukwieconego szaleństwa, aż umiera z żalu. Jej obłęd dostarcza klucza Klaudiuszowi, który ostatecznie odkrywa całą zbrodnię, co kończy się ścięciem Yoricka. I na tym historia się zamyka.

Lecz kryje się w niej pewna tajemnica, czyjaś niewidzialna ręka! Ktoś, czyjego imienia nie mogę zdradzić, zdobył odciętą głowę. Dzięki łapówkom i szeptom udało mu się ją pogrzebać w tym samym miejscu, w którym po wielu latach książę stanie oko w oko ze swoim, głupkowato uśmiechniętym, kościanym poczuciem winy. W ten sposób ów dowcipniś bez twarzy, miłośnik zdrowego poczucia humoru błazna, mimo woli sprawił, że jego niepotrzebny nikomu czerep stał się „kapitalnym” przedmiotem rozrywki.

Tam-taram, tam-taram i tamta, ramta-tatatam... Czytelniku, czas pędzi, a każdy z nas przepędza go na swój własny najprzyjemniejszy sposób: czy to bębniąc palcami po blacie, czy to śpiąc, zalecając się lub konsumując sznury parówek: jak kto chce. Ja mam zwyczaj nucić, więc tam-tam-tam-ta-tam. (Jeśli ten dźwięk cię irtuje, odejdz i spędzaj swój czas gdzie indziej. Wolność jest jak pozbawiony ruchu spaniel, który traci siły i kondycję. Należy trenować

swojego psa, drogi panie. Na tym polega cały dowcip.)

Powróćmy jednak, po wielu latach, na naszą scenę. Co na niej widzimy? Nie ma tam Yoricka, bo nie żyje. Wobec tego będzie to Duch Yoricka. Nęka on żywych, byśmy mogli go nazwać Iskierką Humoru... Czytelniku, nie masz pojęcia, jak skomplikowały się sprawy w Elsynorze!

Gertruda, w krwiożerczy sposób „uratowana” przez syna przed swoim pierwszym, zupełnie nie krwiożerczym małżonkiem, wytrwała w żałobie wiele lat, oddawszy rządy w ręce Klaudiusza. (Tu rzeczywiście moja opowieść różni się od relacji pana Chackpaw, niwecząc niejedną wspomniały monolog. Nie mam nic na swoją obronę poza tym, iż uważam, że wydarzenia te giną w mrokach przeszłości i niczego nie można być pewnym [niechaj obie wersje współlistnieją, skoro nie zachodzi konieczność wyboru] oraz to, że gdy królowa Gertruda w końcu poślubiła Klaudiusza, w chorym umyśle Hamleta minione lata skurczyły się, spłaszczyły i zamazały. Wydawało mu się, że jego dzieciństwo, dojrzewanie i wczesna młodość trwały nie dłużej niż dwa miesiące [skądże znowu, krócej nawet]. Całkiem to zrozumiałe, bo czyż nie przemknęły w tym krótkim czasie, kiedy to nuciłem swoje tam-taram? Czyż nie trwały tyle, co spacer z Freedom, twoją spanielką? Oto zatem mamy dwie nierozwiązywalne kwestie zamiast jednej. Mam nadzieję, że to wystarczy.)

Jak już wcześniej powiedziałem: Gertruda wychodzi za mąż! Zazdrość nieżyjącego już Yoricka, która opuściła jego ciało i szuka nowego gniazda, znajduje je w Hamlecie. To oczywiste, knuje Hamlet, że należy oskarżyć króla Klaudiusza o bratobójstwo, egzekucję Yoricka zaś przedstawić jako kamuflaż, arras skrywający prawdę. Wobec tego po raz drugi wywołuje się ducha zbrodni. Hamlet, opętany miłością do matki, spotyka go na murach Elsynoru.

Lecz duch ten ma swoje własne imię, które oskarża księcia-oskarżyciela. Prześladowany widmem swej zbrodni, Hamlet zaczyna popadać w obłąd. Jak wszystkim wiadomo, źle traktuje swoją Ofelię, ponieważ chory umysł podsuwa mu straszliwe wspomnienie niesłusznie oczernionej i wielce smrodliwej małżonki trefnisia. W końcu księżę, który ongiś przemienił słowo w jad, sam wychyla zatruty kielich... i tu następują marsze żałobne, a także marsze żywych: stary Fortynbras, zbyt długo nie zapraszany do stołu, pożera Danię.

Potomek Yoricka pozostaje przy życiu, lecz opuszcza scenę rodzinnej tragedii. Wędruje po świecie, rzucając nasienie w odległych krainach, z zachodu na wschód i z powrotem, dając początek różnokolorowym pokoleniom. Ich ostatnim dzieckiem jest (teraz to mogę wyjawić)

wasz pokorny autor; dowodem na jego pochodzenie niechaj będzie pewna cecha wspólna całemu temu nieszczęsnemu rodowi: skłonność do powtarzania szczególnego rodzaju opowieści, określanych przez uczonych profesorów mianem *chanticleric* oraz *taurean*.

Właśnie taką opowieść z gatunku kura i byka wieńczy to moje ostatnie wyznanie.

NA AUKCJI RUBINOWYCH PANTOFELKÓW

Uczestnicy aukcji zaczarowanych pantofelków w niewielkim stopniu przypominają klientelę zwyczajnego salonu sprzedaży. Licytatorzy zorganizowali wielką akcję reklamującą tę imprezę i przygotowali się na wszystko. W dzisiejszych czasach ludzie rzadko mają odwagę gdzieś wychodzić, lecz Organizatorzy uznali, że taka przynęta powinna nas wywabić z naszych bunkrów. Liczono na wielkie emocje. W związku z tym oprócz standardowego wyposażenia mającego na względzie wygodę i bezpieczeństwo ważniejszych osobistości, w holach i toaletach ustawiono ogromne mosiężne misy dla niedomagających fizycznie; w neogotyckich konfesjonalach zainstalowanych w strategicznych punktach czuwają zespoły psychiatrów, by nieść pomoc osobnikom dotkniętym cierpieniami duszy.

W dzisiejszych czasach znakomita większość ludzkości jest cierpiąca.

Nie ma tu księży. Organizatorzy nie wyrazili zgody na ich obecność: księża pozostali w innych, pobliskich budynkach, dobrze im znanych, licząc na eksplozję psychoz.

Zespoły położników oraz grupy policjantów w hełmach oddziałów antyterrorystycznych czekają w bocznych uliczkach na wypadek, gdyby nadmiar emocji doprowadził do nieoczekiwanych narodzin lub zgonów. Sporządzono listy najbliższych krewnych z uwzględnieniem ich numerów kontaktowych. Przygotowano zapas kaftanów bezpieczeństwa.

Proszę popatrzeć: za kuloodporną szybą migoczą rubinowe pantofelki. Nie znamy granic ich mocy. Podejrzewamy, że takie granice nie istnieją.

Wśród zebranych są gwiazdy filmowe. Rozlewają po sali swoje olśniewające fluidy, wykreowane przy współpracy mistrzów psychologii stosowanej. Są one platynowe, złote, srebrne, miedziane. Niektórzy aktorzy charakterystyczni specjalizujący się w rolach nikczemników emitują barwy zła - jaskrawą zieleń, żółć lub czerwień. Zderzenie z bezcenną (i kruchą) aurą kończy się powaleniem intruza na ziemię przez ochroniarzy i wyprowadzeniem go do czekających już radiowozów. Incydenty te nieco rozluźniają tłok w Wielkiej Sali Aukcyjnej.

Jak można się było spodziewać, nałogowi wielbiciele i wielbicielki memorabiliów

stawili się w komplecie. Właśnie w tej chwili jedna z nich pochyła głowę, by przyłożyć wargi do przezroczystej klatki pantofelków, przez co włącza się najprzemysłniejszy system alarmowy, którego twórcy zapomnieli wbić mu w pamięć informację o względnej nieszkodliwości takich gestów uwielbienia. System pakuje sto tysięcy wolt w wypełnione kolagenem wargi całującej, która traci wszelkie zainteresowanie imprezą.

Ten nieprzyjemny wypadek nie zniechęca pewnego naśladowcy tego samobójczego aktu uwielbienia. Na wieść, że był on kochankiem pierwszej ofiary, dajemy wyraz zdumieniu z powodu niezgłębionych tajemnic miłości i ponownie sięgamy po perfumowane chusteczki.

Kult rubinowych pantofelków sięgnął zenitu. Bal przebierańców trwa. Kręci się tu mnóstwo Czarodziejów, Lwów i Strachów na Wróble. Zawzięcie walczą o swoje pozycje, depcząc sąsiadom po palcach. Widać tu niewielu Blaszanym Drwali, a to z powodu niewygodnego stroju. Czarownice przyczały się na balkonach i galeriach Wielkiej Sali Aukcyjnej niczym żywe chimery, niejednokrotnie o wysokiej zdolności kredytowej. W jednym z rogów zebrały się pieski toto: kilkanaście z nich kopuluje z wielkim zapalem, zmuszając dozorcę w gumowych rękawicach do rozdzielania ich, by zapobiec obrazie moralności. Dozorca robi to niezmiernie delikatnie i z zachowaniem wszelkich zasad dobrego tonu.

Zebranych w tej sali niezmiernie łatwo śmiertelnie urazić. Traktujemy obrażanie się jak nasze niezbywalne prawo. Mało co ma dla nas taką wartość jak nasze oburzenie, z którego wynika nasza przewaga moralna. Z tych pozycji ostrzeliwujemy naszych wrogów, powodując liczne ofiary śmiertelne. Jesteśmy dumni z naszych krótkich lontów. Gniew uwzniośla, wynosi nas ponad poziomy.

Dookoła tej świątyni wysadzanych rubinami pantofelków tworzą się kałuże śliny. Niektórzy bowiem spośród nas, ci, którzy nie potrafią nad sobą zapanować, ślinią się. Portier Latynos w obcisłym owerolu przechadza się wśród nas z wiadrem w jednej ręce i gąbką na kijku w drugiej. Podziwiamy go i jesteśmy mu wdzięczni, że czyni to wyjątkowo dyskretnie. Zbiera z posadzki naszą wydzielinę w sposób, który pozwala nam nie utracić twarzy.

Okazje spotkania czegoś naprawdę cudownego zdarzają się nader rzadko w naszym nietzscheańskim, zrelatywizowanym świecie. Behawiorystyczni filozofowie i kwantowi fizycy tłoczą się wokół zaczarowanych pantofelków. Robią nieczytelne notatki.

Uchodźcy, bezpieczeństwa różnej maści, nawet bezdomni włóczędzy ściągnęli tu, by choć zerknąć na to, co nieprawdopodobne. Wylegli ze swoich podziemnych nor, nie zważając na bazooki, uzbrojone w uzi gangi odurzone krakiem, oszustwem lub krwią ofiar, szmuglerów, opróżniaczy domów. Włóczędzy noszą jutowe poncza i bez żenady spluwają do wielkich donic z jukami. Całymi garściami zgarniają kanapki z tac roznoszonych na wyspecjalizowanych dłoniach pracowników wynajętej firmy cateringowej. Sushi obficie polewają pikantnym sosem wasabi. Trzewia tych włóczędzów wydają się zupełnie niewrażliwe na ten wyjątkowo palący dodatek. Ktoś wzywa oddział antyterrorystyczny. Po krótkiej potyczce, podczas której idą w ruch gumowe pociski i ładunki usypiające, włóczędzy znikają: wywozi się ich spalowanych do utraty przytomności. Zostaną wyrzuceni daleko poza granicami miasta, na dymiącej ziemi niczyjej pośród gigantycznych tablic reklamowych - tam, gdzie my już się nie wyprawiamy. Zbiegną się do nich wygłodniałe, bezpańskie psy. W naszych czasach nie ma miejsca na kompromisy.

Na licytację przybyli także uchodźcy polityczni: konspiratorzy, zdetronizowani monarchowie, zbiegli wichrzyciele, poeci, hersztowie bandytów. Osobnicy ci już nie noszą czarnych beretów, okularów z grubymi szklami i niemodnych prochowców, lecz zadają szyku w wywatowanych jedwabnych marynarkach i japońskich pantalonach z wysokim stanem. Ich kobiety ubierają się w kuse kamizelki à la toreador, z wyszywanymi cekinami reprodukcjami dzieł sztuki. Jakaś piękność obnosi na plecach *Guernikę*, kilka innych dam - połyskujące sceny z cyklu *Okrucieństwa wojny* Francisca Goi.

Uchodźcom politycznym płci żeńskiej odzianym w błyszczące stroje mimo wszystko nie udało się przyćmić blasku rubinowych pantofelków, więc tłoczą się teraz wokół swoich towarzyszy, tworząc wściekłe grupki, które od czasu do czasu rażą wyzwiskami, pociskami z atramentem, obślinionymi kulkami papieru lub strzałkami wraże ugrupowania emigrantów stacjonujące w innej części sali. Goryle przy drzwiach bawią się od niechcenia bykowcami, więc polityczni mają się na baczności.

Czczymy rubinowe pantofelki, ponieważ ufamy, że potrafią nas uchronić przed czarownicami (w dzisiejszych czasach prześladowuje nas mnóstwo czarowników); mają ponadto moc odwracania metamorfozy i są afirmacją utraconej normalności, w którą już niemal przestaliśmy wierzyć, a także obietnicą powrotu do niej. Odnosimy się do nich z rewerencją, ponieważ lśnią jak obuwie bogów.

Krytyczne wypowiedzi na temat fetyszowania pantofelków pochodzą od fundamentalistów religijnych, którzy zawdzięczają swoją tu obecność skrajnemu liberalizmowi niektórych Organizatorów. Uważają oni bowiem, że kulturalny dom aukcyjny powinien być niczym kościół: otwarty i tolerancyjny. Fundamentalisci nie kryli, że są zainteresowani kupnem czarodziejskich pantofelków jedynie po to, by je spalić, w czym Organizatorzy owi nie dostrzegli niczego nagannego. Ile jest warta tolerancja tam, gdzie nietolerancyjni również nie są tolerowani? „Pieniądze wymuszają demokrację”, twierdzą liberalni Organizatorzy. Fundamentalisci grzmią ze swoich skrzynek po mydle, zbitych ze specjalnego, święconego drewna. Nikt ich nie słucha, lecz niektóre wysoko postawione osoby przebąkują coś o cienkim końcu klina.

Przybywają sieroty, łudząc się, że rubinowe pantofelki cofną je w czasie i przestrzeni (z naszych wyliczeń wynika bowiem, że każdy pojazd pokonujący przestrzeń jest zarazem wehikułem czasu): wierzą, że słynne buciki połączą je z ich nieżyjącymi rodzicami.

Znaleźli się tutaj również mężczyźni i kobiety podejrzanego konduity - nietykalni, wyrzutki społeczeństwa. Służby porządkowe bezceremonialnie rozprawiają się z nimi.

„Dom” stał się tak szerokim, wypaczonym i wieloznacznym pojęciem w tym naszym mozole. Mamy za czym tęsknić. Coraz rzadziej oglądamy tęczę. Jak wielka może być moc czarodziejskich pantofelków? Obiecują nam powrót do „domu”, lecz czy są zdolne zrozumieć metafory z nim związane, czy uwzględnią pojęcia abstrakcyjne? Czy wymagają dosłowności? A może pozwolą nam na nowo zdefiniować to święte słowo?

Czy chcemy, czy oczekujemy zbyt wiele?

Czy w miarę jak piętrzą się nasze niezliczone potrzeby, napierając na podłączone do prądu szkło, te buciki, jak rybka z bajki braci Grimm, nie stracą cierpliwości i nie pchną nas z powrotem do mrocznych ruder niezadowolenia?

Obecność postaci literackich w Sali Aukcyjnej może się okazać zgubna. Są tu dzieci z dziewiętnastowiecznych australijskich obrazów. Kwilą w ozdobnych, pozłacanych ramach, ponieważ zagubiły się w bezkresie kontynentu. Drżą w niebieskich sukienkach i podkolanówkach, wpatrując się w tropikalne lasy i czerwone pustynie.

Pewien powieściowy bohater, skazany na dożywotnie czytanie powieści Dickensa uzbrojonego szaleńcowi w sercu dżungli, przysłał pocztą swoje zgłoszenie udziału w licytacji.

Na telewizyjnym monitorze widzę drobną postać istoty pozaziemskiej ze świecącym

palcem.

To przenikanie świata realnego i fikcyjnego jest świadectwem moralnego upadku naszej liczącej ponad dwa tysiące lat kultury. Bohaterowie wychodzą z kinowych ekranów i żenią się z kobietami z widowni. Czy to się nigdy nie skończy? Może należy zaostrzyć kontrolę? Może państwo zbyt łagodnie posługuje się przemocą? Często dyskutujemy o tych problemach. Nie ma wątpliwości co do tego, że w znakomitej większości jesteśmy przeciwni swobodnej, nieograniczonej migracji istot fikcyjnych do tej wypaczonej rzeczywistości, której zasoby kurczą się z dnia na dzień. Mało kto spośród nas chciałby się udać w podróż w przeciwnym kierunku (wbrew sugestywnym doniesieniom o rosnącej ostatnio częstotliwości takich wędrówek).

Odkładam takie rozważania na potem. Za moment rozpocznie się aukcja.

Muszę teraz opowiedzieć o mojej kuzynce Gale, która miała zwyczaj głośno jęczeć w trakcie aktu miłosnego. Będę szczery: kuzynka Gale była i pozostanie miłością mojego życia. Nawet teraz, kiedy już nie jesteśmy razem, podnieca mnie samo wspomnienie jej erotycznej hałaśliwości. Dodam jeszcze tylko, że poza tym w naszych stosunkach cielesnych nie było nic nienormalnego, absolutnie nic, powiedzmy, literackiego. Mimo to czerpałem z nich głęboką, bardzo głęboką satysfakcję, szczególnie wtedy, gdy w chwili penetracji krzyczała: „Do portu, chłopie! Do portu, skarbie, tak... teraz jesteś w domu!”

Pewnego dnia, donosząc ze smutkiem, przyszedłem do domu, gdzie ujrzałem ją w ramionach pewnego uciekiniera z filmu o jaskiniowcach. Wyprowadziłem się jeszcze tego samego wieczoru. Szedłem ulicą i szlochałem, niosąc w ramionach jej portret, a na plecach kolekcję płyt Pata Boone'a.

Działo się to wiele lat temu.

Po tym, jak Gale mnie rzuciła, przez jakiś czas czułem do niej urazę i opowiadałem naszym wspólnym znajomym, że cnotę straciła w wieku lat czternastu, przypadkiem, nieopatrznie siadając na kulawym, składanym krzeselku myśliwskim. Zemsta jednak dawała mi satysfakcję przez krótki czas.

Od tej pory oddaję się wspomnieniom. Uczyniłem z siebie świeczkę w jej świątyni.

Zdaję sobie sprawę, że po tylu latach rozłąki i braku wszelkich kontaktów ta Gale, którą czczę, nie jest realną osobą. Prawdziwa Gale zmieszała się z moimi wyobrażeniami, z moim własnym obrazem naszego dalszego, wspólnego życia w alternatywnym świecie, w którym nie ma miejsca dla małpoludów. Prawdziwa Gale mogłaby się teraz okazać dla mnie nieosiągalna, niepoznawalna.

Niedawno udało mi się ją zobaczyć. Siedziała w samym końcu długiego, mrocznego, podziemnego baru strzeżonego przez najemnych komandosów uzbrojonych w taktyczną broń nuklearną. Na kontuarze stały polinezyjskie zakąski i beczkowe piwa z rejonu Pacyfiku: kirin, tsingtao, swan.

W tym czasie wiele programów telewizyjnych poświęcano przykremu wypadkowi astronauty, który utknął na Marsie bez nadziei na powrót, z kurczącymi się zapasami żywności i powietrza do oddychania. Rzecznicy prasowi w sugestywny sposób tłumaczyli nam przyczyny nagłych cięć w budżecie przeznaczonym na badania przestrzeni kosmicznej. Ich argumenty wydawały się przekonujące; z kolei różne wpływowe osobistości narzekały na sentymentalizm emisji ukazujących konającego astronautę. Mimo to kamery umieszczone w unieruchomionym pojeździe stale przekazywały chwytające za serce obrazy jego powoli narastającej rozpacz, jego konania w nieważkości.

Obserwowałem kuzynkę Gale, która patrzyła w barowy telewizor. Nie wiedziała, że ją widzę, że stała się moim wybranym programem.

Zesłaniec na innej planecie, ten w telewizorze, zaczął śpiewać dawno zapomniane piosenki. Przypomniałem sobie wówczas Hala, umierający komputer ze starego filmu *2001: Odyseja kosmiczna*. Kiedy go odłączano, Hal śpiewał: *Daisy, Daisy...*

Nasz Marsjanin - ponieważ stał się rezydentem na tej planecie - zaprezentował nam obłąkańcze wersje *Swanee*, *Show Me the Way to Go Home* oraz kilku kawałków z *Czarodzieja z Oz*. Ramiona Gale zadrżały. Płakała.

Nie podszedłem do niej, żeby ją pocieszyć.

Po raz pierwszy usłyszałem o aukcji rubinowych pantofelków następnego dnia rano i natychmiast postanowiłem zdobyć je bez względu na cenę. Mój plan był prosty: z całą pokorą złożę je Gale w ofierze. Powiem jej, że jeżeli chce, może je wykorzystać do podróży na Marsa, by sprowadzić astronautę na Ziemię.

Może nawet stuknę obcasami trzy razy i odzyskam jej serce, szepcząc: „Nie ma to jak w domu”, nawiązując do naszej zmarnowanej miłości.

Śmiejecie się z mojej desperacji. No cóż! Idźcie i powiedzcie tonącemu, żeby nie chwycił się brzytwy! Powiedzcie umierającemu astronautcie, żeby nie śpiewał. Chodźcie tu i postawcie się na moim miejscu. Co powiedział Tchórzliwy Lew? Nie daj się! Dam wam radę jedną ręką. Dam wam radę z zawiązanymi oczami.

Boicie się, co? Może nie?

Wielka Sala Aukcyjna jest bijącym sercem Ziemi. Wystarczy postać tu chwilę, by obejrzeć wszystkie cudzy świata. W minionych latach na naszych oczach poszły tutaj pod młotek: Tadź Mahal, Statua Wolności, Alpy, Sfinks. Byliśmy świadkami sprzedaży żon i zakupu mężów. Zmieniały tu właściciela, otwarcie i za najwyższą stawkę, tajemnice państwowe. Pewnego razu sami Organizatorzy doglądali sprzedaży przegrzanej i wielowyznaniowej bandzie ziejących ogniem demonów grubego pakietu ludzkich dusz w różnym wieku oraz wszystkich klas, zawodów, ras i wyznań.

Wszystko jest na sprzedaż. Pod stanowczym, lecz z gruntu życzliwym nadzorem Organizatorów, ich psów oraz oddziałów antyterrorystycznych angażujemy się w potyczkę intelektów i portfeli, w wojnę nerwów.

Nasze poczynania cechuje pewien puryzm oraz estetyczne napięcie między wielką złożonością tego życia, które popakowane partiami, idzie pod młotek, i równie wielką lekkością, z jaką się z nim obchodzimy.

Licytujemy, Organizatorzy przybijają, odchodzimy.

Wszyscy są równi w obliczu sprawiedliwości młotków: malarz chodnikowy i Michał Anioł, niewolnica i królowa. Oto trybunał popytu.

Teraz trwa licytacja pantofelków. W miarę jak rośnie cena, nasilają się mdłości. Ogarnia mnie strach, ściąga mnie w dół, przytlacza. Myślę o Gale - słodka kuzyneczka! - tumię lęk i rzucam swoją cenę.

Pewnego razu wdowiec po uwielbianej gwiazdce pop zaproponował mi, bym zastąpił go na aukcji rockowych memorabiliów. Był jedynym kuratorem jej majątku, wartego dziesiątki milionów. Darzyłem go szacunkiem.

- Zależy mi tylko na jednym - oświadczył. - Zapłać, ile będzie trzeba.

Chodziło mu o dwie sztuki garderoby: jadalne figi z papieru ryżowego o smaku miętowym, kupione dawno temu w sklepie przy (o ile dobrze pamiętam) Rodeo Drive.

Na popisowy numer sceniczny niezżyjącej małżonki mojego zleceniodawcy składało się publiczne zdejmowanie i zjadanie kilku par takich majtek. Jednocześnie z estrady rzucano w tłum setki par w różnych smakach: czekoladowym, figowym, kassata, które także natychmiast pożerano w nastroju ogólnego podniecenia wywołanego koncertem. Wybrańcy byli zbyt

rozentuzjasmowani, aby się zastanawiać nad przyszłą wartością tego, co im wpadło w ręce. Liczba sztuk bielizny, którą ta dama faktycznie miała na sobie, była zatem ograniczona, i co za tym idzie, zapotrzebowanie na nie było ogromne.

W trakcie aukcji łączami wideo nadchodziły zgłoszenia z Tokio, Los Angeles, Paryża i Mediolanu. Oferty spływały w takim tempie i były tak wysokie, że straciłem głowę. Mimo to, kiedy zatelefonowałem do mojego zleceniodawcy, by go zawiadomić o porażce, zachował pełny spokój: interesowała go jedynie ostateczna cena. Gdy podałem mu liczbę pięciocyfrową, tylko się roześmiał. Tego dnia po raz pierwszy od śmierci artystki usłyszałem jego naprawdę radosny śmiech.

- To dobrze - oznajmił. - Mam jeszcze trzysta tysięcy par.

To Organizatorzy określają wartość naszej przeszłości, przyszłości, naszego życia.

Cena rubinowych pantofelków stale rośnie. Wielu licytujących wygląda na pełnomocników, którym i ja byłem tego dnia, kiedy sprzedawano majtki; często występuję w tej roli, na przeróżne sposoby.

Na tę aukcję puszczam się sam i licytuję, być może dosłownie, siebie.

Z ulicy dobiegł huk eksplozji. Słychać odgłosy kroków, syreny, krzyki. Takie wypadki już nam spowszedniały. Nie ruszamy się z miejsca, pochłonięci sprawą znacznie bardziej emocjonującą.

Pojemne misy cieszą się ogromnym powodzeniem. Czarownice zawodzą, gwiazdy filmowe wstrząsają przygasłymi aurami. Kolejki niepokieszonych formują się przed boksami psychiatrów. Ochroniarze mają pełne ręce roboty, czego jeszcze nie można powiedzieć o położnikach. Zaprowadzono spokój. Jestem jedyną osobą w sali, która wciąż licytuje. Z moich rywali pozostały już tylko same głowy na wideoekranach i niesłyszalne głosy na telefonicznych łączach. Mocuję się z niewidzialnym światem demonów i duchów o nagrodę, którą jest ręka mojej pani.

W kulminacyjnym momencie, kiedy pieniądze stają się wyłącznie sposobem zapisu, dzieje się coś, do czego niechętnie się przyznaję: człowiek odrywa się od ziemi.

Zanika przyciąganie ziemskie, maleje ciężar, zaczyna się unoszenie w kapsule walki. Ostateczny cel łamie granicę szaleństwa. Jego osiągnięcie oraz nasze przetrwanie stają się - tak! - fikcją.

Ta zaś, o czym już wcześniej wspominałem, jest niebezpieczna.

Owładnięci iluzją potrafimy oddać dom w hipotekę i sprzedać własne dzieci, by zdobyć to, czego pożądamy. Innym razem zaś w tym miazmatycznym oceanie zdarza się, że po prostu odpływamy od swoich pragnień i widzimy je z dystansu, jako coś nieważkiego, banalnego. Rezygnujemy z nich. Jak ci, którzy podczas śnieżnej zamieci kładą się, by odpocząć.

I tak w tym aukcyjnym tyglu gaśnie czar kuzynki Gale. Wycofuję się więc z licytacji, wracam do domu i idę spać.

Budzę się rześki i wolny.

Za tydzień kolejna aukcja. Pod młotek pójdą drzewa genealogiczne, herby, królewskie pochodzenie: wszędzie można wpisać dowolne imię, własne albo ukochanej osoby. Ponadto rodowody kocie i psie: alzaczyk, birmańczyk, saluki, syjamczyk, Walińczyk.

Dzięki bezgranicznej szczodrości Organizatorów każdy z nas: kot, pies, mężczyzna, kobieta, dziecko, może mieć błękitną krew. Każdy z nas może być, kim zapragnie; i jednocześnie, kuląc się w naszych schronach z obawy, że tym nie jesteśmy - stać się kimś.

KRZYSZTOF KOLUMB & KRÓLOWA HISZPANII IZABELA KONSUMUJĄ SWÓJ ROMANS (SANTA FÉ, AD 1492)

Kolumb, cudzoziemiec, podąża za królową Izabelą całą wieczność, nigdy nie tracąc nadziei.

- *Jaki on jest?*

Wyniosły, lecz zarazem uniżony: trzyma głowę wysoko, jednocześnie lekko uginając kolana. Jest pokorny, lecz nieustraszony: cechuje go szelmowski brak ogłady, co mu się wybaczają, ponieważ jest czarującym oszustem. Niemniej jednak w miarę upływu czasu te ujmujące aspekty jego osoby biorą górę: jego nieokrzesanie niknie w oczach. Tak jak podeszwy jego butów.

- *Co chce osiągnąć?*

Wpierw odpowiedzi oczywiste. Kolumb liczy na awans. Pragnie przypiąć względy królowej do szyszaka niczym rycerz z romansu. (On nie ma szyszaka.) Ma nadzieję otrzymać gotówkę i trzy statki: Nina, Pinta, Santa Maria, oraz w roku tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym drugim przepłynąć przez szmaragdowy ocean. Podczas pierwszej wizyty na dworze, gdy królowa zapytała go, co jest jego pragnieniem, pochylił się nad jej oliwkową dłonią, a jego usta o tchnienie od królewskiego sygnetu szepnęły jedno, niebezpieczne słowo:

„Spełnienie”.

- *Ach, ci nieznośni cudzoziemcy! Jacy oni potrafią być zuchwali! „Spełnienie”! Coś podobnego!!! Potem całymi miesiącami chodził za nią krok w krok, jakby uważał, że ma jakieś szanse. Te jego nieudolne epistoły, te przeraźliwe serenady pod jej oknami! Kazala je pozamykać, pozbawiając się chłodnego powiewu. Miała ciekawsze rzeczy do zrobienia, na przykład podbój świata itp. Co on sobie wyobraża?*

- *Cudzoziemcy potrafią być uparci. Ponadto, z powodu nieznamomości języka, nie rozumieją aluzji. Nie zapominajmy jednak, że trzymanie paru cudzoziemców jest de rigueur. Nadają dworowi światowy charakter. Bywają bez grosza, więc chętnie mają się różnych nieodzownych, aczkolwiek brudnych robót. Stanowią także ostrzeżenie dla nas przed zbytnim samozadowoleniem, ich obecność bowiem przypomina nam, że są miejsca (mimo że trudno je sobie wyobrazić), gdzie i my możemy być traktowani jak obcy.*

- *Jak można się tak odzywać do królowej?!*

- Cudzoziemcy zapominają, gdzie jest ich miejsce (ponieważ je opuścili). Z czasem zaczynają uważać, że są nam równi. Zagrażają nam. Burzą nasze surowe obyczaje italskimi pochlebstwami, lecz wystarczy ich nie słuchać, nie patrzeć na nich. Oni nie chcą nas skrzywdzić, posuwają się za daleko tylko w wyjątkowych sytuacjach. Nie ma powodu do obaw: królowa da sobie radę.

Na dworze Izabeli Kolumb w krótkim czasie zyskuje opinię szaleńca. Nosi się przesadnie kolorowo oraz pije, także do przesady. Dla uczczenia wygranej bitwy Izabela zamyka się na jedenaście dni wśród psalmów i wzniosłej surowości księży. Kolumb tymczasem dobija się do katedry, wymachując bukłakiem wina. Ten człowiek to jednoosobowa orgia.

- Proszę popatrzeć na tego opilca, na ten jego wielki kudłaty łeb, w którym aż się roi od niedorzeczności! Głupiec z błyskiem w oku! Marzy mu się złocisty raj za Zachodnim Krańcem Świata.

„Spełnienie”.

Królowa bawi się Kolumbem.

Podczas drugiego śniadania obiecuje mu wszystko, o co on prosi, lecz po południu tego samego dnia obrzuca go spojrzeniem pełnym obojętności.

W dniu świętego Krzysztofa wzywa Kolumba do swojej alkowy, odsyła pokojówki, pozwala mu zaplatać warkocze i, przez jedną chwilę, pieścić piersi. Następnie wzywa strażę. Skazuje go na czterdzieści dni w królewskich stajniach i chlewach. Kolumb siedzi samotnie na sianie, wybiegając myślami do odległego, legendarnego złota. Śnią mu się pachnidła królowej, lecz budzi się w duszącym smrodzie chlewu.

Igranie z Kolumbem sprawia królowej przyjemność.

Kolumb uparcie powtarza sobie, że dogadzanie królowej pomoże mu w osiągnięciu celu. Wieprze ryją pod jego stopami. Kolumb zaciska zęby.

„Dogadzanie królowej jest dobre”.

Kolumb дума:

Czy królowa dręczy go wyłącznie dla zabawy?

Czy dlatego, że jest cudzoziemcem i obce jej są jego zwyczaje?

Czy dlatego, że w jej serdecznym palcu, ciągle gorącym wspomnieniem jego warg,

zatlili się - jak to się mówi? - „afekt”? Tak: czułość wysączyła się z palców ku jej sercu, wywołując burzę.

Czy może dlatego, że waha się między możliwością przyjęcia jego projektu z otwartymi ramionami i inaczej (bo złośliwie) satysfakcjonującą możliwością zniszczenia go drwiną ciśniętą, po wielu przygrywkach, prosto w tę jego głupkowatą, proszącą twarz?

Kolumb pociesza się możliwościami. Niemniej jednak nie wszystkie są pocieszające.

Izabela jest władczynią absolutną. (Jej mążnek zaś to absolutne zero: zupełna pustka, nic bardziej zimnego. Nie będziemy o nim więcej wspominać.) Pierścień tej kobiety jest obsypywany pocałunkami. Ona sama zaś zna się na pochlebstwach. Opiera się im bez trudu.

Jest tyranem, który ma między innymi własną menażerię złożoną z czterystu dziewiętnastu błaznów. Są wśród nich groteskowe pokurcze i ślicznotki piękne jak poranek. On, Kolumb, jest jedynie jej czterysta dwudziestym idiotą. Taki scenariusz jest równie prawdopodobny.

Albo: królowa pojmuje jego marzenie o świecie, który leży poza końcem świata, i jest nim tak bardzo poruszona, że się go lęka i to zwraca się ku niemu, to znowu cofa.

Albo: nie ma w ogóle pojęcia, o co mu chodzi, i nie zamierza tego zgłębić.

„Do wyboru, do koloru”.

Jedno jest pewne: on nie rozumie jej. Oczywiście są tylko fakty. Ona jest Izabelą, wszechwładną królową, on - jej niewidzialnym (choć głośnym, wielobarwnym, złośliwym wino) mężczyzną.

„Spełnienie”.

Pożądanie seksualne samca wygasa; samicy wzmagają się wraz z upływem lat. Izabela jest jego ostatnią nadzieją. Kolumb ma coraz mniej patronów, argumentów, zalotności, włosów, pary.

Czas płynie.

Izabela pędzi naprzód, wygrywa bitwy, wygania Maurów z ich twierdz. Jej apetyt rośnie z tygodnia na tydzień. Im więcej zagarnia ziemi, im więcej ma rycerzy, tym większy odczuwa głód. Kolumb zaś, czując, że usycha, czyni sobie wyrzuty. Powinien jasno widzieć, jak sprawy się mają. Powinien oprzytomnieć. Jakie są jego szanse? Jednego dnia królowa każe mu czyścić latryny, kiedy indziej jest przydzielany do obmywania ciał, a po bitwie ciała wcale nie są czyste. Rycerze idą do boju z pieluchami stosownej wielkości pod zbroją, ponieważ lęk przed śmiercią otwiera jelita. Dzieje się tak za każdym razem. Kolumb nie jest stworzony do

takiej roboty. Postanawia opuścić Izabelę. Na zawsze.

Piętrzą się jednak problemy: nadchodząca starość, brak patrona. Jeżeli zwinie manatki, trzeba się będzie pożegnać z podróżą na zachód.

Przeświadczenie filozofów, że życie jest pozbawione sensu, nigdy do niego nie przemawiało. Kolumb jest człowiekiem czynu, który realizuje się poprzez swoje dokonania. Rezygnując z podróży na zachód, będzie zmuszony uznać absurdalność życia. Byłaby to kolejna porażka. Niewidzialny w swoich jaskrawych egzotycznych barwach, niedoceniony, zostaje. Chodzi za nią krok w krok, czekając na jej łaskawe spojrzenie.

„Poszukiwanie pieniędzy i patrona”, twierdzi Kolumb, „niewiele się różni od pogoni za miłością”.

- Ona jest wszechmocna. Całe zamki ścielą się jej do stóp. Żydów już wygnano, a Maurowie szykują się do oddania ostatniej fortecy. Królowa jest w Grenadzie, na czele wojsk.

- Nikt jej się nie oprze. Nikt jej nie śmie odmówić.

- Ma prorocze sny.

- Na podstawie informacji otrzymanych podczas snu planuje zwycięskie bitwy, krzyżuje zamiary skrytobójców, odkrywa zdrady i przekupstwa, które wykorzystuje, by szantażować sprzymierzeńców (aby sobie zapewnić ich poparcie) oraz przeciwników (w tym samym celu). Sny pomagają jej przepowiadać pogodę, negocjować traktaty i trafnie inwestować w handel.

- Je za trzech i nigdy nie przybiera na wadze.

- Ziemia z uwielbieniem przyjmuje jej kroki. Mrok rozstępuje się przed jej jasnym spojrzeniem.

- Jej twarz jest słodkim półwyspem wśród oceanu włosów.

- Jej skarby są nieprzebrane.

- Ma uszy niczym delikatne znaki zapytania, sugerujące niepewność.

- Nogi.

- Nogi ma nieszczególne.

- Często bywa niezadowolona.

- Kolejne podboje nie dają jej satysfakcji. Każdy szczyt upojenia musi być wyższy od poprzedniego.

- Oto Boabdil, ostatni z Nasrydów, przed bramami Alhambry, ostatniej reducy arabskiej Hiszpanii. Patrzcie: w tej właśnie chwili oddaje królowej klucze do cytadeli! Ich ciężar przechodzi z jego rąk w jej dłonie, a ona... ona... ziewa.

Kolumb porzucił wszelkie nadzieje.

Podczas gdy Izabela wkracza do Alhambry z obojętną miną zwycięzcy, Kolumb siodła swojego muła. Gdy ona mitręży czas na Dziedzińcu Lwów, on wymyka się wśród tumultu batów, łokci, kopyt, i natychmiast ginie w obłoku kurzu.

Pochłonęła go niewidzialność. Uległ jej woli. Pogodził się ze świadomością, że porzuca swoje przeznaczenie. Opuszcza królową Izabelę pchany bezsilnym gniewem, podróżuje dzień i noc, a gdy muł pada pod nim, zarzuca na ramię te swoje cygańskie, jaskrawe torby, teraz pokryte kurzem, i idzie piechotą.

Dookoła niego rozciąga się bogata równina, którą podbiły wojska Izabeli. Kolumb niczego nie widzi: ani tej bujnej krainy, ani pustki wyzierającej z wież zdobytych zamków. Duchy wygnanych cywilizacji unoszą się teraz niezauważone nad rzekami, których nazwy - Guadaltak i Guadalsiak - zatrzymały echa unicestwionej przeszłości.

Nad jego głową myszołowy cierpliwie kreślą arabeski.

Mijają go długie kolumny Żydów, lecz dramat ich wygnania nie dociera do niego. Ktoś chce mu sprzedać tolekański sztylet, lecz on tylko macha ręką. Utraciwszy swój sen o statkach, Kolumb pozostawia Żydów wygnańczym statkom, które czekają już na nich w Kadyksie. Wyczerpanie stępiło jego zmysły. Ten stary świat jest za stary, a nowego jeszcze nie znaleziono.

„Utrata pieniędzy i patronatu”, mówi Kolumb, „napawa goryczą w równym stopniu co nie odwzajemniona miłość”.

Idzie, nie bacząc na zmęczenie, przekracza granice wytrzymałości i własnego ja. Gdzieś po drodze ztraca równowagę, zsuwa się w obłąd, a tam, poza krawędzią umysłu, wyrasta przed nim, pierwszy i jedyny raz w życiu, wizja.

Sen o śnie.

Widzi Izabelę, która przechadza się po Alhambrze, tym klejnocie, który wydarła Boabdilowi, ostatniemu z Nasrydów.

Królowa wpatruje się w okazałą marmurową misę podtrzymywaną przez kamienne lwy. Misa jest pełna krwi i w niej to ukazuje się Izabeli - Kolumb śni, że ona to widzi - jej widzenie.

Misa pokazuje jej, że wszystko, cały poznany świat, należy teraz do niej. Wszystko jest w jej rękach. Może z tym zrobić, co zechce. Kiedy królowa to pojmuje - śni Kolumb - krew

natychmiast ścina się i przemienia w gęstą maź, rojącą się od robactwa. Wówczas Izabela z tych utrudzonych, lecz zarazem mściwych majaków Kolumba doznaje przerażającego olśnienia, które przeszywają do szpiku kości: nigdy, przenigdy nie nasyci się posiadaniem tego, co znane. Tylko to, co nieznanne, a nawet niepoznawalne, może ją zadowolić.

W jednej chwili przypomina sobie Kolumba (który widzi tę scenę). Niewidzialnego człowieka, który marzy, by wkroczyć do niewidzialnego świata, nieznanego i być może nawet niepoznawalnego świata poza Krawędzią, poza marmurową misą codzienności, poza gęstą krwią oceanu. W tym gorzkim śnie Kolumb każe Izabeli poznać prawdę, pogodzić się z myślą, że ona potrzebuje go w tym samym stopniu co on jej. Tak! Ona już to wie! Musi musi musi dać mu pieniądze, statki, wszystko, on zaś musi musi musi nieść jej chorągiew oraz łaskę poza koniec końca ziemi, ku chwale i nieśmiertelności, łącząc ją z nim na wieki więzami daleko trwalszymi od więzów miłości: surowymi i ubóstwiającymi więzami historii.

„Spełnienie”.

W swoim szalonym śnie Kolumb widzi, jak Izabela, rwąc włosy z głowy, wybiega z Dziedzińca Lwów, by wezwać heroldów.

„Odszukajcie go!”

Lecz we śnie Kolumb nie chce, by go znaleziono. Otula się ciasniej zakurczonym, barwnym płaszczem swojej niewidzialności, tak że heroldzi na próżno przemierzają galopem cały kraj.

Izabela krzyczy, błaga, zaklina.

Dziwka! Dziwka! Masz się teraz z pyszna! Kolumb uśmiecha się krzywo. Opuszczając jej dwór, ginąc w ostatecznej i samobójczej niewidzialności, pozbawił ją pragnienia jej duszy. Dostała nauczkę.

Dziwka!

Zabiła jego nadzieje, prawda? No, cóż. Przez to sama siebie upokorzyła. Poetycka sprawiedliwość. Jak sprawiedliwie, to sprawiedliwie.

Pod koniec snu Kolumb zgadza się, by jej wysłannicy go odnaleźli. Tętent koni, wymachiwanie ramionami. Błagają go, kuszą pochlebstwami, próbują go przekupić. Za późno. Pozostała już tylko słodka, samookaleczająca radość unicestwienia Możliwości.

W odpowiedzi heroldom przecząco kręci głową.

„Nie”.

Oprzytomniał.

Czołga się wśród płodności równiny w oczekiwaniu na śmierć. Słyszy tętent koni i podnosi wzrok, niemal przekonany, że ujrzy Anioła Śmierci, pędzącego ku niemu niczym zdobywca, z czarnymi skrzydłami i znudzonym obliczem.

Otoczają go heroldzi Izabeli. Dają mu strawę, napitek, konia. Krzyczą:

- *Dobre wieści! Królowa cię wzywa!*
- *Twoja podróż: wspaniała nowina.*
- *Miała wizję, która ją przeraziła.*
- *Wszystkie jej sny są prorocze.*

Wysłannicy zsiadają z koni. Chcą go przekupić, schlebiają mu, błagają go.

- *Wybiegła z Dziedzińca Lwów z twoim imieniem na ustach.*
- *Wyprawi cię poza kamienną misę poznanego świata, poza gęstą krew oceanu.*
- *Oczekuje cię w Santa Fé.*
- *Musisz ruszać natychmiast.*

Kolumb prostuje się, jak spełniony kochanek, jak pan młody w dniu zaślubin. Otwiera usta. Mało brakowało, a wypadłoby z nich gorzkie słowo odmowy: nie.

„Tak”, odpowiada heroldom. „Tak. Jadę”.

WSCHÓD, ZACHÓD

HARMONIA SFER

Pewnego razu, w tym czasie, kiedy obchodzono jubileusz królowej, pisarz Eliot Crane, który cierpiał na to, co nazywał „burzami mózgu” wywołanymi napadami schizofrenii urojeniowej, jadł lunch w towarzystwie swojej żony Lucy Evans, młodej fotoreporterki. Działo się to w walijskim miasteczku R., gdzie Lucy pracowała dla miejscowej gazety. Wyglądał pogodnie, mówił, że czuje się świetnie, lecz jest zmęczony i wobec tego wcześniej pójdzie spać. Tego dnia gazeta szła do druku, więc Lucy wróciła późno do ich domu położonego na wzgórzach. Kiedy weszła do sypialni, nie zastała tam Eliota. Pomyślała, że śpi w pokoju gościnnym, postanowiła, że nie będzie mu przeszkadzać, i poszła spać.

Godzinę później obudziło ją przeczucie katastrofy, więc nie ubierając się, podeszła do drzwi pokoju gościnnego. Wzięła głęboki oddech i otworzyła. Ułamek sekundy później zatrzasnęła je gwałtownie i osunęła się na podłogę. Chorował już ponad dwa lata, pomyślała więc tylko: To koniec. Kiedy zaczęła drzeć z zimna, wróciła do łóżka i spała aż do rana.

Wziął w usta rewolwer i pociągnął za spust. Broń należała do jej ojca, który użył jej do tego samego celu. Jedyne list, jaki Eliot pozostawił, nim dopuścił się tego ostatecznego aktu makabrycznej symetrii, był pedantyczną instrukcją, jak czyścić i dbać o rewolwer. Eliot i Lucy nie mieli dzieci. Eliot liczył sobie trzydzieści dwa lata.

Tydzień wcześniej, w Szkocji, wspinaliśmy się w trójkę na wzgórze, aby obejrzeć jubileuszowe ogniska, które wykwitły na tym grzbiecie kraju, rozświetlając ciemność.

- *Bonfire*. To wcale nie znaczy „dobry ogień” - odezwał się Eliot - chociaż to też na pewno jest zawarte w tym słowie. Pierwotnie wznoszono ogniska z kości. Z kości padłych zwierząt, a także, moi drodzy, z ludzkich zwłok. Były tam spopieliałe ludzkie szkielety.

Miał rozwichrzone rude włosy, śmiejąc się, pohukiwał jak sowa i był chudy jak kij od miotły. W tym teatrze rozświetlonym ogniskami wszyscy wyglądaliśmy jak opętańcy, więc łatwo było nie dostrzegać jego zapadniętych policzków, brwi uniesionych wysoko jak u mima i dzikiego błysku w oczach. Staliśmy blisko ognia i słuchaliśmy jego strasznych opowieści o sabatach, podczas których czarownicy w pelerynach, popijając urynę, przywoływali diabły z samego piekła. Pociągaliśmy brandy z jego srebrnej piersiówki i natychmiast się otrząsaliśmy. Eliot jednak spotkał kiedyś prawdziwego demona i od tej pory nie zaznali z Lucy chwili spokoju. Sprzedali swój nawiedzony domek przy Portugal Place w Cambridge i wprowadzili się do ponurej, śmierdzącej owcami walijskiej chaty, którą nazwali (z wisielczym poczuciem

humoru) Crowley End.

Nie pomogło. Zanosząc się śmiechem z opowieści Eliota, pamiętaliśmy, że demon zdążył już poznać numer rejestracyjny jego samochodu, że w każdej chwili może do niego zatelefonować ze swojego nielegalnego aparatu, że zna jego nowy adres.

- Lepiej będzie, jeśli przyjedziesz - powiedziała Lucy. - Zatrzymali go na szosie, jak jechał pod prąd, sto pięćdziesiąt na godzinę, i w maseczce do spania zakrywającej oczy.

Wiele dla niego poświęciła, rezygnując z pracy w londyńskim magazynie niedzielnym i angażując się w małomiasteczkową gazetę. Lecz Eliot był obłąkany, a ona chciała być blisko.

- Czy obecnie jestem w łaskach? - zapytałem. Eliot miał swoją teorię spiskową, według której większość jego znajomych była agentami wrogich mocarstw, ziemskich i pozaziemskich. Ja byłem najeźdźcą z Marsa, jedną z wielu podobnych niebezpiecznych istot, które wśliznęły się do Wielkiej Brytanii na skutek złagodzenia pewnych nieodzownych form czujności. Marsjanie byli mistrzami mimikry i co za tym idzie, potrafili omamić ludzi do tego stopnia, że ci wierzyli, iż są tacy sami jak oni, a na dodatek najeźdźcy mnożyli się jak muszki owocówki na kupie zgniłych bananów.

Przez ponad rok, kiedy byłem w fazie marsjańskiej, nie mogłem ich odwiedzać. Lucy przekazywała mi informacje przez telefon: leki działają; leki nie działają, ponieważ Eliot nie chce ich regularnie zażywać; czuje się lepiej, pod warunkiem że nie usiłuje pisać; gorzej, ponieważ niepisanie wywołuje depresję; jest bierny i ospały; szaleje i jest agresywny; dręczy go poczucie winy i rozpacz.

Byłem bezradny; każdy czułby to samo.

Zaprzyjaźniliśmy się podczas mojego ostatniego roku w Cambridge, kiedy miałem burzliwy romans z pewną dyplomantką. Miała na imię Laura. Pisała pracę dyplomową na temat Jamesa Joyce'a i francuskiej *nouveau roman*. Żeby się jej podlizać, dwukrotnie przebrnąłem przez całe *Finnegans Wake* oraz przeczytałem prawie wszystko Sarraute, Butora i Robbe-Grilleta. Pewnego wieczoru, będąc w nader romantycznym nastroju, stanąłem na parapecie okna w jej mieszkaniu przy Chesterton Road i niebezpiecznie się kołysząc, oświadczyłem, że nie zejdem, dopóki nie zgodzi się wyjść za mnie. Następnego dnia rano zatelefonowała z tą nowiną do mojej matki. Odpowiedziało jej długie milczenie, po czym moja mamusia powiedziała:

- Wierzę, że on potrafi być bardzo miły, ale czy nie byłoby lepiej, gdybyś sobie znalazła kogoś... no wiesz... takiego samego jak ty?

Pytanie to dotknęło Laurę do żywego.

- Co to znaczy: takiego samego?! - wrzasnęła. - Specjalistę od Joyce'a?! Kogoś, kto ma metr sześćdziesiąt wzrostu?! Kobietę?!

Tego lata jednak udało jej się urządzić na weselu, zerwać mi okulary, połamać je, chwycić nóż do tortu i ku wielkiej konsternacji młodej pary oświadczyć, że jeżeli jeszcze raz do niej podejść, pokroi mnie na kawałki i rozda gościom. Wycofywałem po omacku i, można powiedzieć, wpadłem na inną kobietę, szarooką bratnią duszę z innej planety, w okrągłych okularkach, o imieniu Mała, która z całą powagą zaproponowała, że odwiezie mnie do domu, „ponieważ obecnie cierpisz na pewne ograniczenie zdolności widzenia”. Dopiero na naszym ślubie dowiedziałem się, że tę poważną, spokojną Małą, nie palącą, nie pijącą wegetariankę, która nie tykała narkotyków, tę samotną Małą z Mauritiusa, studentkę medycyny, która uśmiechała się jak Gioconda, popchnął w moją stronę Eliot Crane.

- Eliot chce cię zobaczyć - powiedziała Lucy przez telefon. - Chyba w tej chwili nie obawia się Marsjan.

Siedział przed kominkiem, z czerwonym kocem na kolanach.

- Ahuu! Chłopak z kosmosu! - wykrzyknął, uśmiechając się szeroko i wysoko podnosząc ręce, po części w geście powitalnym, po części poddańczym. - Siadaj, stary, i naley sobie czegoś, zanim zrobisz nam coś złego.

Lucy zostawiła nas samych. Eliot trzeźwo i zdawałoby się obiektywnie opowiadał o swojej chorobie. Nie mogłem uwierzyć, że dopiero co pędził autostradą na oślep i pod prąd. Wyjaśnił mi, że kiedy przychodzi obłąd, „świruje” i jest wtedy zdolny do najdziwniejszych ekscesów. Między napadami natomiast jest „zupełnie normalny”. Oświadczył także, iż w końcu zrozumiał, że pogodzenie się z obłądkiem nie jest żadnym piętnem: jest to choroba, jak każda inna, *voilà tout*.

- Czuję się coraz lepiej - powiedział z przekonaniem. - Wróciłem do pracy, do tej książki o Owenie Glendowerze. Pisanie dobrze mi robi, pod warunkiem że nie zajmuję się magią. - (Eliot był autorem uczonego, dwutomowego dzieła na temat jawnych i tajemnych grup okultystycznych w dziewiętnasto- i dwudziestowiecznej Europie, zatytułowanego *Harmonia sfer*.) Zniżył głos. - Między nami, Khan, pracuję nad prostym lekiem przeciwko schizofrenii urojeniowej. Prowadzę korespondencję z najtęższymi głowami w kraju. Nie masz pojęcia, jak się zapalili. Uważają, że znalazłem coś absolutnie nowego. Teraz to już tylko kwestia czasu.

Ogarnął mnie smutek.

- Strzeż się Lucy - szepnął. - Kłamie jak dziwka. Czy wiesz, że mnie podsłuchuje? Dali

jej jakieś najnowsze urządzenia. Mamy mikrofony w lodówce. Lucy ukrywa je w maśle.

Eliot poznał mnie z Lucy w hinduskiej restauracji przy Charlotte Street w roku 1971. Mimo że nie widzieliśmy się od dziesięciu lat, przypomniałem sobie natychmiast, jak całowaliśmy się na plaży Juhu, kiedy ja miałem czternaście lat, a ona dwanaście. Poczulem, że chcę to powtórzyć. Panna Lucy Evans, miodowa blondynka, nad wiek rozwinięta córeczka szefa wielkiej Bombay Company. Nie wspomniała o tych pocałunkach. Pomyślałem, że zapomniała, i też milczałem. Lecz kiedyś napomknęła o naszych wyścigach wielbłądów na plaży Juhu i świeżym mleczku kokosowym, prosto z drzewa. Nie zapomniała.

Lucy była dumną właścicielką niewielkiej łodzi, okropnego starocia, który kiedyś był barkasem marynarki wojennej. Miał ostro zakończony dziób i rufę, prowizoryczną kabinę na środku i potwornie stary silnik marki Thorneycroft Handybilly, który słuchał wyłącznie Lucy. Jednostka ta była pod Dunkierką. Lucy dała jej imię *Bugenwilla* na pamiątkę dzieciństwa spędzonego w Bombaju.

Pływałem z nimi kilkakrotnie: pierwszy raz z Małą, potem bez niej. Mała bowiem, teraz Doktor Mała, Doktor (Pani) Khan, nikt inny, Mona Liza Centrum Medycznego przy Harrow Road, czuła wstręt do takiej cygańskiej egzystencji, która pozwalała nam nie kąpać się, łać za burtę i spać razem, żeby było ciepłej, w szczelnie zapiętych śpiworach.

- Komfort higieniczny jest dla mnie najwyższym priorytetem - oświadczyła. - Wolę nie mieć nic wspólnego ze śpiworami. Zostaję w domu z moją kołderką i klozeczkiem.

Odbyliśmy podróż w górę rzeki Trent, kanałem Mersey aż do Middlewich, potem na zachód do Nantwich, na południe kanałem Shropshire Union i znowu na zachód do Llangollen. Lucy w roli szypra była niezastąpiona: miała ogromną siłę fizyczną oraz sposób komenderowania, który bardzo mnie podniecał. Podczas tej wyprawy spędziliśmy dwa dni we dwoje, ponieważ Eliot musiał wrócić do Cambridge na wykład pewnej „ważnej osobistości z Austrii, poświęcony nazizmowi i magii”. Pożegnaliśmy go na stacji w Crew, po czym zjedliśmy wstrętny obiad w restauracji z wielkimi pretensjami. Lucy chciała zamówić butelkę rose. Kelnerka Zesztywniała z oburzenia.

- Czerwony po francusku - zagrzmiała - jest rouge !

Niezależnie od tego, co to było, wypiliśmy za dużo. Później, na pokładzie Bugenwilli, spięliśmy razem nasze śpiwory i wróciliśmy na plażę Juhu. W pewnej jednak chwili Lucy pocałowała mnie w policzek, szepnęła: „Szaleństwo, kochany”, odwróciła się i wypięła na zbyt

odległą przeszłość. Pomyślałem o Mali, mojej niezbyt odległej terażniejszości, i w ciemnościach zaczerwieniłem się ze wstydu.

Następnego dnia żadne z nas nie wspomniało o tym, co prawie się wydarzyło. Bugenwilla w złą porę dotarła do tunelu, w którym obowiązywał ruch jednokierunkowy zmienny. Lucy jednak nie miała ochoty czekać trzy godziny na naszą kolej. Kazała mi iść przodem z latarką wąską ścieżką w tunelu, a sama bardzo powoli prowadziła łódź. Nie miałem pojęcia, co zamierza zrobić, gdybyśmy spotkali kogoś z naprzeciwka, lecz marsz śliską, nierówną ścieżką pochłonął całą moją uwagę. Poza tym byłem jedynym członkiem załogi.

Mieliśmy szczęście: w końcu wydostaliśmy się na światło dzienne. Miałem na sobie biały sportowy sweter, który teraz okazał się jaskrawoczerwony, nieodwracalnie upaprany czerwonym błotem ze ścian tunelu. Miałem błoto w butach, we włosach i na twarzy. Kiedy ocierałem pot z czoła, drobina błota wpadła mi do oka.

Lucy donośnym krzykiem obwieściła nasz nielegalny sukces.

- Nareszcie udało mi się zrobić z ciebie przestępcę! Genialnie! - (W Bombaju byłem bardzo Porządny.) - Widzisz? Oplaca się łamać prawo.

Szaleństwo. Kochany. Na wieść o wyczynie Eliota na szosie przypomniałem sobie rose i ten tunel. Nasze przygody na pokładzie Bugenwilli w nocy i za dnia były na swój sposób równie niebezpieczne. Zakazane pieszczoty i podróż po ciemku niezgodnie z kierunkiem ruchu. Lecz my się nie rozbiliśmy, a on nie zginął. Mieliśmy szczęście. Tak myślę.

Dlaczego popadamy w obłąd?

- Brak równowagi biochemicznej - twierdził Eliot. Uparł się, że to on będzie prowadził w drodze powrotnej z wyprawy do jubileuszowych ognisk. Kiedy dodawał gazu na zakrętach nie oświetlonych wąskich dróg, czułem, że i w moich żyłach poziom różnych substancji biochemicznych skacze ponad normę. Nagle, bez ostrzeżenia, zahamował. Była jasna, księżycowa noc. Na wzgórzu po prawej stronie ujrzeliśmy śpiące owce i cmentarzyk ogrodzony płotem.

- Chcę, żeby mnie tu pochowano - oświadczył.

- Nie da rady - odpowiedziałem mu z tylnego siedzenia. - Najpierw trzeba umrzeć.

- Przestań - wtrąciła się Lucy. - Nie podsuwaj mu pomysłów.

Zaczęliśmy się przekomarzać, żeby rozładować sytuację, ale Eliot wiedział, że jego życzenie dotarło do nas. Zadowolony pokiwał głową i dodał gazu.

- Jeżeli nas pozabijasz - wydusiłem z siebie - to kto będzie cię wspominał?

Po powrocie do Crowley End bez słowa poszedł spać. Lucy zajrzała do niego jakiś czas później i stwierdziła, że zasnął w ubraniu i uśmiechał się przez sen.

- Chodź, upijemy się - zaproponowała radośnie i wyciągnęła się na podłodze przed kominkiem. - Czasami myślę, że byłoby znacznie łatwiej, gdybym się nie odsunęła - powiedziała. - Wtedy, na łodzi.

Po raz pierwszy Eliot zetknął się ze swoim demonem pod koniec pisania *Harmonii sfer*. Pokłócił się z Lucy, a ona wyprowadziła się z ich domu dla lalek przy Portugal Place. (Kiedy wróciła, okazało się, że podczas jej nieobecności ani razu nie wystawił butelki na mleko. Kuchnia była zastawiona butelkami, po jednej za każdy dzień, kiedy byli osobno. Siedemdziesiąt zarzutów.)

Pewnej nocy, o trzeciej, obudził się z przeczuciem, że na dole kręci się jakieś absolutne zło. (Przypomniałem sobie o tym przeczuciu, kiedy Lucy opowiadała mi o swoim przebudzeniu w Crowley End i przeświadczeniu, że Eliot nie żyje.)

Sięgnął po szczyryk i zszedł na dół, golusieńki (jak potem Lucy), żeby sprawdzić, co się dzieje. Nie było prądu. W miarę jak zbliżał się do kuchni, czuł, że ogarnia go arktyczny chłód i stwierdził, że ma erekcję. Nagle wszystkie lampy zwariowały, zapalały się i gasły na zmianę. Eliot skrzyżował ramiona i krzyknął: *Apaga me, Satanas!* Zostaw mnie, Szatanie.

- I wszystko wróciło do normy - opowiadał mi. - Niżej pasa też. Flak.

- Niczego nie zobaczyłeś. - Byłem nieco rozczarowany. - Żadnych rogów ani kopytek...

Eliot wcale nie był takim surrealista, za jakiego chciał uchodzić. Jego fascynacja czarną magią nie wynikała z pobudek czysto naukowych. Jego inteligencja jednak kazała mi zaufać jego ocenie.

- Po prostu mam otwarty umysł - powiedział. - Więcej jest rzeczy w niebie i na ziemi, Horatio... i tak dalej. - Pomysł błyskawicznej sprzedaży domu, i to ze stratą, wyjaśnił w sposób nader rzeczowy.

Stanowiliśmy dziwną parę przyjaciół: ja lubiłem upał, on wolał mrok i wilgoć. Ja nosiłem wąsy i włosy do ramion, on tweedy i sztruksy. Mnie zajmował teatr amatorski, problemy rasowe i antywojenne protesty; on spędzał weekendy w lepszym towarzystwie, zabijając zwierzęta i ptaki.

- To najlepsza rozrywka dla mężczyzny... - podpuszczał mnie - wykańczanie naszych futrzastych i pierzastych przyjaciół, porządkowanie łańcucha pokarmowego. Kapitalne.

W 1970 roku, dzień po tym, jak Edward Heath wygrał wybory - „Sklepiarz twórcą rządu” pisała wtedy jedna z gazet - wydał przyjęcie, które rozczarowało tylko mnie.

Czy wiadomo, co sprawia, że ludzie zostają przyjaciółmi? Sposób poruszania się? A może to, jak fałszują, śpiewając?

Wiem jednak, o co chodziło w naszym wypadku. Czarna magia. Nie miłość i nie czekolada: Sztuki Tajemne. To, że nie mogę usunąć go z pamięci, powinienem zapewne przypisać świadomości, że mało brakowało, a sam bym wpadł w potrzask tych kuszących tajemnic, które Eliota Crane’a doprowadziły do obłądu.

Pentagramy, *illuminati*, Maharishi, Gandalf: nekromancja stanowiła część naszego *zeitgeist*, odrębnego języka kontrkultury. To przez Eliota poznałem tajemnice Wielkiej Piramidy, Złotego Podziału i Spirali; on zapoznał mnie z Mesmera teorią magnetyzmu zwierzęcego („Ciała niebieskie, ziemia i wszystkie ciała ożywione wzajemnie na siebie oddziałują. Reakcje te są przenoszone przez rozproszony, niezrównanie delikatny, uniwersalny fluid, który podlega nie znanym nam jeszcze prawom mechaniki”) oraz czterema transami japońskiego spirytualizmu: *muchu*, czyli ekstazą, *shissi*, *konsui-jotai*, czyli komą; *saimin-jotai* - stanem hipnotycznym; oraz *mugen no kyo* - kiedy duch porzuca ciało, by rozpocząć wędrówkę w krainie tajemnic. Dzięki niemu poznałem ciekawych ludzi, lub przynajmniej ich umysły: G. I. Gurdżijewa, autora *Opowieści Belzebuba*, guru między innymi Aldousa Huxley’a, Katherine Mansfield i J. B. Priestleya; oraz radzę Rammohana Raja i jego Brahma Samadz, odważną próbę syntezy myśli hinduskiej i angielskiej.

W ramach tej nieformalnej edukacji zgłębiałem tajniki numerologii i chiromancji, a także wykułem na pamięć indiańskie zaklęcie, by fruwać. Nauczyłem się wymawiać słowa przywołujące diabła oraz rysować znak, który powstrzyma bestię 666.

Guru nie mieli dla mnie większego znaczenia, kiedy jeszcze mieszkałem w Indiach, skąd pochodzi to słowo. Dopiero Eliot stał się kimś takim, do czego przyznaję się ze wstydem. Tłumaczy się to jako „mistyczny nauczyciel”, a wymawia g’ruu.

Czytelniku: nie zdałem tego egzaminu. Nigdy nie doznałem *muchu* (nie wspominając o *mugen no kyo*), nigdy nie odważyłem się rzucić piekielnego zaklęcia ani skoczyć ze skały, żeby pofruwać, niczym terminator jakiegoś indiańskiego *brujo* z plemienia Yaqui.

Przeżyłem.

Eliot i ja wprawialiśmy się nawzajem w stan hipnozy. Pewnego razu przekazał mi pohipnotyczną sugestię, że ilekroć wymówi słowo „banany”, mam się natychmiast rozebrać.

Jeszcze tego samego wieczoru na parkiecie klubu Dingwall, gdzie znaleźliśmy się z Małą i Lucy, szepnął mi tę owocową okropność do ucha. Poczułem nagły przypływ senny i mimo że pomyślałem o stawieniu oporu, moje ręce zaczęły mnie rozbierać. Kiedy dotarły do rozporka dżinsów, wyrzucono nas na ulicę.

- Wstrętne chłopaczyska - odezwała się Mała z dezaprobatą, kiedy ubierałem się nad kanałem, miotając przekleństwa i obietnice potwornej zemsty. - Idźcie razem do łóżka, a potem wrócimy do domu i odpoczniemy.

Czy to o to chodziło? Nie. Być może. Nie. Nie wiem. Nie.

Cóż to za obraz: podwójny portret samooszukiwaczy. Eliot-okultysta, który udaje akademika, i ja, być może bardziej prozaicznie, w szponach tajemnej miłości.

Kiedy poznałem Eliota, sam byłem nieco szurnięty - cierpiałem na dysharmonię moich własnych sfer. Przyczynił się do tego epizod z Laurą i kilka trudnych pytań o to, gdzie jest mój dom, oraz o moją tożsamość, na które nie potrafiłem odpowiedzieć. Z wdzięcznością przyjąłem jedną odpowiedź, jaką była Mała, którą instynktownie podsunął mi Eliot. Dom, jak piekło, był tam, gdzie są inni ludzie. W moim wypadku domem okazała się ona.

Nie przybywała z Marsa, lecz z Mauritiusa. Należała do dziewiątego pokolenia kontraktowych robotników przywiezionych z Indii, kiedy po zniesieniu niewolnictwa zabrakło tam rąk do pracy. W jej domu - którym była wioska na północ od Port Louis, gdzie największą budowlą jest pobielona świątynka Wisznu - porozumiewano się dialektem bhođpuri tak skreolizowanym, że nikt oprócz Hindusów z Mauritiusa nie jest w stanie go zrozumieć. Mała nigdy nie była w Indiach, więc to, że się tam urodziłem, spędziłem dzieciństwo i miałem tam krewnych, sprawiało, że w jej oczach byłem kimś strasznie atrakcyjnym, przybyszem z Xanadu. „Żywił się bowiem nektarem, spijał mleko raju”.

Mimo że miała, jak sama twierdziła, „skrzywienie naukowe”, interesowało ją pisarstwo i spodobało się jej, że próbowałem zostać pisarzem. Była dumna z „Romea i Julii z wyspy Mauritius”, jak nazywała *Pawia i Wirginię* Bernardina de St Pierre, i nalegała, bym to przeczytał.

- Może będzie to miało jakiś wpływ... - powiedziała z nadzieją w głosie.

Jak większość lekarzy, była pozbawiona pruderii i praktyczna. Jako typowy osobnik ze „skrzywieniem humanistycznym” zazdrościłem jej znajomości tego, jacy jesteśmy w środku. Byłem przekonany, że na temat natury ludzkiej wie wszystko to, co ja muszę sobie wyobrażać. Nie mówiła dużo, lecz czułem, że znalazłem w niej swoją opokę. Poza tym nocą w jej żyłach budziły się gorące, mroczne przypływy Oceanu Indyjskiego.

Odnosiłem wrażenie, że denerwuje ją Eliot i moja zażyłość z nim. Kiedy już została moją żoną - w podróż poślubną pojechaliśmy do Wenecji - sytuacja ta zmusiła ją do wygłoszenia długiej, jak na nią, przemowy.

- Te wszystkie czary-mary! - parsknęła, dając wyraz naukowej pogardzie dla tego, co irracjonalne. - Jakie to durne!!! Uważam, że on tu za często przychodzi. On ci źle robi. Kim on w ogóle jest? Zwyczajnym angielskim pomyłkiem. Wyczuwasz mnie, sahib? Dziękujemy za nauki itede, ale teraz powinienes go sobie odpuścić.

- Walijskim pomyłkiem - poprawiłem ją, nie posiadając się ze zdumienia. - On jest Walijszym.

- Nieważne - rzuciła doktor (pani) Khan. - Diagnoza wciąż aktualna.

Lecz ja uważałem, że w tym ogromnym intelektualnym magazynie przeróżnych odmian „wiedzy zakazanej”, którego zawartością Eliot hojnie się ze mną dzielił, znalazłem inny sposób połączenia „tu i tam”, moich dwóch inności, mojej podwójnej nieprzynależności. Wydawało mi się, że w świecie magii i mocy istnieje coś w rodzaju fuzji poglądów: taki system europejsko-ameroindiańsko-orientalno-lewentyński, w który rozpaczliwie pragnąłem wierzyć.

Miałem nadzieję, że z pomocą Eliota skonstruuje jakieś „zakazane ja”. Świat widzialny, którym rządził cynizm i napalm, wydawał mi się do szczętu pozbawiony dobroci lub mądrości. Świat ukryty, gdzie nauczyciele przechadzali się z adeptami i gdzie można było dostrzec rąbki wielkich tajemnic, miał mi wskazać drogę do mądrości. Dzięki niemu chciałem osiągnąć - ulubiony termin Eliota - harmonię.

Mala miała rację. On nie mógł pomóc nikomu, biedny dureń; nie potrafił nawet uratować siebie. W końcu demony upomniały się o niego: Gurdżijew i Uspieński, Crowley i Bławatska, Dunsany i Lovecraft. Zepchnęły owce z walijskiego wzgórza i zaatakowały jego umysł.

Harmonia? Mało gdzie panował taki jazgot, jak w głowie Eliota. Pieśni aniołów Swedenborga, hymny, mantry, tybetańskie zawrozenia. Jaki ludzki umysł potrafiłby się obronić przed taką wieżą Babel, gdzie teozofowie spierają się z konfucjanistami, a scjentyści z różokrzyżowcami? Tu - wierni chwałą nadejście Majtreji, tam - krwiopiczy czarnoksiężnicy ciskają uroki. Wyobraźcie sobie, z jednej strony millenaryści oznajmniają koniec świata, z drugiej ukazuje się Hitler, wymachując hakenkreuzem, który w swojej ignorancji lub podłości nazwał imieniem symbolu dobra: swastyka.

W tej zgrai, która osaczyła chorego człowieka z Crowley End, nawet mój faworyt, radza

Rammohan Raj, stał się jeszcze jednym głosem w kakodemonicznej ciszbie.

Bang!

Nareszcie cisza. *Requiescat in pace.*

Zanim powróciłem do Walii, brat Lucy, Bill, wezwał policję, firmę pogrzebową i spędził heroiczne godziny w gościnnym pokoju, zmywając ze ścian krew i mózg. Lucy, w jasnej, letniej sukience, siedziała w kuchni i z kamiennym spokojem popijała dzin.

- Przejrzysz jego książki i papiery? - zapytała tonem, który wydał mi się słodki i obojętny. - Ja nie mogę. Powinno tam być sporo tego Glendowera. Trzeba to uporządkować.

Cały niemal tydzień pochłonęło mi to smutne odkopywanie nie opublikowanych myśli mojego nieżyjącego przyjaciela. Czulem, że karta się odwróciła: ja zaczynałem być pisarzem, Eliot zaś z tym skończył. Naprawdę jednak przestał nim być, jak odkryłem, wiele lat wcześniej. Nie trafiłem na żaden ślad brudnopisu o Glendowerze ani jakiegokolwiek innej poważnej pracy. Znalazłem wyłącznie chore brednie.

Bill Evans zapełnił maszynowymi i ręcznymi zapiskami Eliota trzy skrzynie od herbaty. W tych skrzyniach delirium odkryłem setki stron pretensjonalnych, chaotycznych obelg i ledwie rozpoczętych tyrad skierowanych przeciwko całemu światu. Znalazłem kilkanaście notatników, w których Eliot spisał wydumane wersje swojej własnej przyszłości: od wyjątkowo wybitnej i świetlanej po nędzny żywot zapoznanego geniusza zwieńczony straszliwymi chorobami lub śmiercią zadaną przez zazdrosnych rywali; potem, nieodmiennie, przychodziło uznanie całego skruszonego świata, który nie potrafił docenić wielkiego człowieka. Żałosne to były zapiski.

Z jeszcze większą przykrością czytałem jego twórczość dotyczącą nas, jego przyjaciół. Dzielila się na dwie grupy: nienawistną i pornograficzną. Znalazłem zjadliwe ataki wymierzone przeciwko sobie oraz całe strony pornograficznych opisów scen miłosnych, z udziałem mojej żony Mali, z którą „spotykał się”, zapewne dla zwiększenia ich autoerotycznego efektu, tuż po naszym ślubie. A także kiedy indziej. Na stronach poświęconych Lucy roiło się od uwag zarówno nieprzychylnych, jak i lubieżnych. Na próżno szukałem w tych skrzyniach słów przepojonych miłością. Nie mogłem uwierzyć, że ten żarliwy i pełen entuzjazmu człowiek nie miał nic dobrego do powiedzenia o życiu na tym świecie. A jednak tak było.

Niczego Lucy nie pokazałem, lecz ona i tak wszystkiego się domyślała.

- Przecież tak naprawdę nie on to pisał - pocieszała mnie. - On był chory.

Wiem, co wpędziło go w chorobę, pomyślałem, i poprzysiągłem sobie, że będę zdrowy. Od tamtej pory kontakt między światem duchowym i moim nie istnieje. „Uniwersalny fluid” Mesmera wyparował na zawsze, kiedy zanurzyłem się w cuchnących skrzyniach obłąkanych świństw mojego przyjaciela.

Pogrzeb odbył się zgodnie z życzeniami Eliota. To, jak umarł, stanowiło pewną przeszkodę na drodze do skorzystania z poświęconej ziemi, lecz zawziętość Lucy sprawiła, że miejscowi księża przymknęli oko.

Wśród obecnych przy pochówku znalazł się pewien konserwatywny deputowany do Parlamentu, który chodził do szkoły z Eliotem.

- Biedny Elly - facet odezwał się na cały głos. - Zadawaliśmy sobie pytanie: „Na co wyrośnie Elly Crane?”, a ja wtedy odpowiadałem: „Pewnie jakoś sobie ułoży to życie, chyba że wcześniej się zabije”.

Ten pan jest obecnie członkiem rządu, osobą pod ochroną Special Branch. Nie wiem, czy zdaje sobie sprawę, jak niewiele brakowało, by potrzebował takiej ochrony (przeciwnie) pewnego odległego i słonecznego dnia w Walii.

Mimo to z pogrzebu zapamiętałem tylko to jego epitafium.

Gdy się rozstawaliśmy, Lucy podała mi dłoń. Więcej już się nie spotkaliśmy. Podobno wkrótce potem wyszła za jakiegoś nudziarza i przenieśli się do Stanów, na Zachodnie Wybrzeże.

Po powrocie do domu odczuwałem wielką potrzebę mówienia. Mała siedziała, słuchając cierpliwie. W końcu opowiedziałem jej o skrzyniach po herbacie.

- Wiem, rozpracowałeś go, nie musisz mi tego przypominać! - wykrzykiwałem. - Znałeś go od środka! Wyobraź sobie! Był taki chory, do tego stopnia szalony, że ubzdurał sobie te wszystkie dzikie sceny rodem z Ostatniego tanga z tobą w roli głównej. Na przykład zaraz po naszym powrocie z Wenecji. Albo przez te dwa dni, kiedy ja siedziałem sam z Lucy na Bugenwilli, bo on musiał wrócić do Cambridge na jakiś wykład!

Mała wstała i odwróciła się do mnie plecami. Zanim cokolwiek powiedziała, odgadłem jej odpowiedź, czułem, jak we mnie eksploduje z potwornym hukiem, przypominającym odgłos pękających w ścisku splawianych bali lub piętrzącej się kry. To prawda, ostrzegła mnie przed Eliotem Crane'em, ostrzegła mnie z przejmującą żarliwością, jaką przelata w tę denuncjację, a ja, zdumiony samym donosem, nie usłyszałem właściwego ostrzeżenia, nie pojąłem znaczenia tej żarliwości w jej głosie. Pomylenieć. On ci źle robi.

Stało się: przepadła harmonia, nastąpił rozpad sfer mojego serca.

- To nie były urojenia - powiedziała.

CHEKOV I ZULU

1

Czwartego listopada 1984 roku Zulu zniknął z Birmingham, więc India House wysłał Chekova, kolegę ze szkolnej ławy, do Wembley, by zobaczył się z jego żoną.

- Dzień dobry, pani Zulu. Można wejść?

- Proszę bardzo, sahibie zastępco, po co te ceregiele?

- Przepraszam, że nachodzę w niedzielę, pani Zulu, ale chciałem zapytać, czy pan Zulu kontaktował się dzisiaj z panią?

- Ze mną?! Od kiedy to on dzwoni do mnie z delegacji? Po co miałby dzwonić, jak się dobrze bawi?

- Ooo, drażliwa sprawa. Wybacz pani. Nigdy nie byłem zbyt subtelny.

- Niech pan chociaż przysiądzie i napije się herbaty.

- Ładnie tu u pani. Jaki gustowny deseń, w piki. A ile kryształów!!! Ten łobuz Zulu musi sporo zarabiać, więcej niż uniżony sługa... Spryciarz z niego.

- Skądże znowu! P. o. zastępca na pewno ma o wiele więcej niż szef ochrony.

- Ja niczego nie insynuowałem. Chciałem tylko powiedzieć, że łaskawa pani potrafi upolować tanie okazje.

- Jakież kłopoty?

- Słucham?

- Dżajsingh! Co się tak snujesz?! Sahib zastępca czeka na herbatę! I biskwity, i dżalebi! Co ty masz w tej głowie?! Żwawo, gość czeka.

- Ależ, pani Zulu, proszę się mną nie przejmować.

- To żaden kłopot, panie zastępco, ale ten chłopak strasznie się rozleniwił, od kiedy tu przyjechał. Wszystko mu się należy: wolne dni, telewizor w pokoju, nawet wypłata w funtach szterlingach. Tyle lat go chowamy, a tu żadnej wdzięczności. Nie ma o czym mówić, po prostu nic.

- O, Dżajsingh, dziękuję. Wspaniałe dżalebi, pani Zulu.

Na telewizorze i sąsiadujących regałach stała kolekcja figurek z serialu Star Trek: kapitan Kirk i doktor Spock, modele statków kosmicznych Klingonów i Romulan, stacji kosmicznej i, rzecz jasna, Enterprise'a. Honorowe miejsce zajmowały okazałej wielkości

statuetki dwóch postaci drugoplanowych.

- Ach, te szkolne przezwiska! - wykrzyknął uradowany Chekov. - Trzymają się uparcie, jak zacięta płyta. Dumpy, Stumpy, Grumpy, Humpy. Wzięły początek od nazwisk. Jak te nasze ksywy od nieustraszonych kosmonautów.

- Mnie się to nie podoba. Stale mnie prześladowuje ta „pani Zulu”! Trąci czarnym.

- Może być pani dumna z tego przezwiska, droga pani. Pański małżonek i ja jesteśmy starymi towarzyszami broni. Od dziecka. Czy on był łaskaw o tym pani powiedzieć? Nieustraszeni dyplonaucci. Wieloletnia misja w celu poznania nowych światów i nowych cywilizacji. Proszę popatrzeć, nasze alter ego stoją na telewizorze, ten skośnooki Rusek i ten żółtek. Wcale nie dowódcy, jak pani widzi, lecz fachowi, niezastąpieni podwładni. „Kurs wyznaczony!”, „Łączność nawiązana”, „Krzywa ciągu na osi!” Co by ten napuszony kapitan zrobił bez swojej doborowej załogi?! Podobnie sprawy się mają z naszym kochanym statkiem, Hindustanem. My, jego załoga, służymy mu, jak ten tu dzielny Dżajsingh. Nigdy człowiek nie czuje się tak ważny, jak w chwilach kryzysu, kiedy nie wolno dopuścić, by statek się rozhermetyzował, kiedy trzeba podać dzalebi i nalać herbatę, choćby nie wiem co się działo. My wprawdzie nie dowodzimy, lecz umożliwiamy dowodzenie. Bez nas statek nie utrzyma kursu ani nie nawiąże łączności. Z krzywą ośką długo nie pociągnie!

- Czy on ma jakieś kłopoty, ten Zulu? I bez tego żyjemy w okropnych czasach.

Na ścianie za telewizorem wisiało oprawione w ramki, okolone girlandami kwiatów zdjęcie Indiry Gandhi. Zginęła w środę. Telewizja nieustannie powtarzała reportaż z jej kremacji. Płatki kwiatów, oślepiające, straszliwe języki ognia.

- Nie do wiary! Nasza Indira! Aż brak słów. Nasza matka. Aj, aj! W kwiecie wieku!

- W radiu i telewizji ciągle opowiadają o tych potwornych rzeczach, jakie dzieją się w Delhi. Te rzezie, drogi panie... Zginęło tylu niewinnych Sikhów, jakby to oni odpowiadali za zbrodnię popełnioną przez kilku podłych ochroniarzy.

- Sikhów zawsze uważano za lojalnych wobec państwa. - Chekov zadumał się. - Stanowią trzon armii, nie wspominając o taksówkach w Delhi. Superobywatele, można powiedzieć. Podobno są bardzo oddani idei nacjonalistycznej. Ale przyzna pani, że ostatnio idea ta bywa kwestionowana. Są i tacy, dla których grzebień, bransoleta czy nóż to oznaki wewnętrznego wroga.

- Jak można wygadywać o nas takie rzeczy?! To podłe!

- Wiem, wiem. Ale, na przykład, taki Zulu. Ciekawe jest to, że o ile nam wiadomo, nie wykonuje teraz żadnego służbowego zadania. Zniknął z mapy, droga pani. Oddalił się samowolnie. Przepadł w dniu zamachu. Od dwóch dni urwany kontakt.

- O, Boże.

- Na górze szerzą się domysły, że Zulu ma powiązania z tą grupą. Najprawdopodobniej od dawna utrzymuje ona kontakty z tutejszą społecznością.

- O, Boże.

- Rzecz jasna usilnie zwalczam autorów tych pogłosek, ale ta absencja go obciąża, sama pani rozumie. Nie obawiamy się tych wypsiałych panów z Khalistanu, ale oni potrafią być bezwzględni. Zulu z jego informacjami i pracą w ochronie... Jak pani wiadomo, zagrozili kolejnymi atakami. Musiała pani o tym słyszeć. Niektórzy uważają, że pani wie o tym aż za dobrze.

- O, Boże.

- Możliwe - ciągnął Chekov, pogryzając dżalebi - że Zulu odważył się udać tam, gdzie jeszcze nie dotarł żaden indyjski dyplonauta.

Pani Zulu zalała się łzami.

- Do tego jeszcze to durne przezwisko, którego nikt nie potrafi się nauczyć! Ono się zaczyna na S. Sulu. Obejrzałam tyle odcinków... myśli pan, że nie wiem? Kirk, Spock, McCoy, Scott, Uhura, Chekov, Sulu.

- Zulu jednak bardziej pasuje do człowieka, którego niektórzy chcieliby mieć za szaleńca - powiedział Chekov. - Podejrzanego dzikusa, domniemanego zdrajcy. Dziękuję za wyśmienitą herbatę.

2

W sierpniu Zulu, nieśmiały olbrzym, wyszedł na lotnisko po Chekova, który przylatywał z Delhi. Przyjezdny, mężczyzna trzydziestotrzyletni, niski i drobnej budowy, był ubrany w szare spodnie, koszulę ze sztywnym kołnierzykiem i granatowy blezer zapinany na dwa rzędy mosiężnych guzików. Miał krzaczaste brwi i wojowniczo wysunięty podbródek, tak że jego światowe maniery i zazwyczaj łagodny głos natychmiast rozbrajały każdego, kto upatrywał w nim osobnika bardziej przebojowego. Robił karierę i już zdążył zaliczyć pewną niewielką ambasadę. Stanowisko Pełniącego Obowiązków Drugiego po Bogu w Londynie było jego kolejnym sukcesem, mimo że zdecydowanie chwilowym.

- Cześć, Zulu! Kopę lat! - rzucił Chekov, waląc dłonią w klatkę piersiową kolegi. - Widzę, że wróciłeś do obozu zarośniętych. - W młodości Zulu należał do nowoczesnych Sikhów: w wieku lat osiemnastu zapuścił wąsy, nie nosił brody, a włosy strzygł krótko,

zrezygnowawszy z długich loków ciasno zwiniętych pod turbanem. Teraz jednak wrócił do tradycji.

- Hej, dzi - odpowiedział nieśmiało. - Czy wobec tego mogę się zwracać do ciebie jak dawniej?

- Jasne! Inne powitania nie wchodzą w rachubę - odparł Chekov, wręczając Zulu swoje bagaże. - Duch Enterprise'a..., i te sprawy!

Mimo że w życiu publicznym Chekov był szalenie kulturalny, w zaciszu domowym lubił chodzić z rozpuszczonymi włosami, by napawać się międzykulturowym gorącem, jakie wówczas odczuwał pod kołnierzykiem. Krótco po tym, jak objął nowe stanowisko, siedział w porze lunchu z Zulu na ławce w Embankment Gardens. Nagle głową zaczął mu wskazywać różnych przechodniów.

- Złodzieje - powiedział *sotto voce*.

- Gdzie?! - wrzasnął Zulu, zrywając się na równe nogi. - Mam ich ścigać?!

Ludzie odwracali głowy. Chekov pociągnął Zulu za brzeg marynarki, sadzając go z powrotem na ławce.

- Nie bądź taki bohater - zganiał go łagodnym tonem. - Miałem na myśli ich wszystkich. Każdy z nich to złodziej. Kocham Londyn! Teatr, balet, opera, restauracje! The Pavillion na polach golfowych podczas sobotnich meczów! Królewskie kaczki w królewskiej sadzawce w królewskim St James's Park! Porządni krawcy, porządne mięso z grilla dla tych, co lubią, i porządne pisma do czytania! Oglądam te resztki ich świetności i przyznam ci się, że jestem pod wrażeniem. Athenaeum, Buck House, lwy na Trafalgar Square. Kapitalna sprawa. Poszedłem na spotkanie w ministerstwie spraw zagranicznych i poczułem się jak w starym India Office. Wnętrza w czarnym tekowym drewnie i słoniowe kły walające się na szafach. Przyznaję, że mnie ruszyło. Cieszę się z ich sukcesu: hura! Ale jak popatrzę na mój własny dom, widzę, że został doszczętnie ograbiony. Nie będę ukrywał, że jestem nieco rozżalony.

- Przykro mi, że poniosłeś tak dotkliwą stratę - powiedział Zulu, ściągając brwi.

- Oj, Zulu, Zulu! To taka przenośnia, mój ty naiwny książę wojujący. Chciałem powiedzieć, że ich muzea pękają w szwach od naszych skarbów. Ich fortuny i miasta zbudowano na łupach, które na nas zdobyli. I tak dalej, i tak dalej. Trzeba przebaczać, jasne. To nasza narodowa cecha. Ale nie wolno zapominać.

Zulu wskazał palcem na włóczęgę śpiącego w podartym płaszczu i kapeluszu na sąsiedniej ławce.

- On też nam coś ukradł? - zapytał.

- Nie wolno zapominać - Chekov kiwał palcem - że brytyjska klasa robotnicza też czerpała korzyści ze współpracy z kolonialistami. Włókniarze z Manchesteru, na przykład, popierali niszczenie naszego przemysłu bawełnianego. Nam, dyplomatom, nie wypada zwracać uwagi na takie rzeczy, lecz to wszystko są fakty.

- Ale żebrak nie należy do klasy robotniczej - upierał się słusznie Zulu. - Ten facet na pewno nie jest naszym prześladowcą.

- Zulu... - Chekov tracił cierpliwość - nie bądź taki upierdliwy.

Chekov i Zulu pływali łódką po Serpentine w Hyde Parku, kiedy ten pierwszy znowu poruszył swój ulubiony temat.

- Oni ukradli nas - oświadczył wyciągnięty na pasiastych poduszkach, w kapeluszu i z szampanem, podczas gdy mocarny Zulu wiosłował - a teraz my im siebie wykradamy. Sytuacja jak z kolekcją Elgina.

- Nie trzeba tyle narzekać - odparł Zulu, który ułożył wiosła w dulkach, by napić się coli. - Nie powinienes być taki zachłanny, taki zagniewany. Popatrz, ile ty masz! To wystarczy. Siedź cicho i się ciesz. Ja mam mniej, i to jest dla mnie akurat. Słońce świeci, a czasy kolonialne są już zamkniętą księgą.

- Jak nie chcesz tej kanapki, to mi ją podaj - powiedział Chekov. - Jako urodzony radykał nie powinienem być dyplomata. Powinienem być zostać terrorystą.

- Ale wtedy bylibyśmy wrogami, stalibyśmy po przeciwnych stronach - zaproponował Zulu ze łzami w oczach. - Nic dla ciebie nie znaczy nasza przyjaźń? I moja praca?

Chekov speszył się.

- Masz rację, stary. To prawda. Nie wyobrażasz sobie, jak się ucieszyłem na wiadomość, że tu, w Londynie, będziemy mogli połączyć siły. Nie ma to jak przyjaciele z dzieciństwa. Tego nic nie zastąpi. Słuchaj, pokrako, przestań... Nie pozwalam... Żeby taki wielki facet wykrzywił się, jakby zaraz miał się rozbeczeć... Jesteśmy jak rodzeni bracia, stary druhu. Co ty na to? Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.

- Jak rodzeni bracia... - powtórzył Zulu, skrywając uśmiech.

- Naprzód zatem - rzucił Chekov, sadowiąc się wygodniej na poduszkach. - Ciąg planetarny!

Tego dnia, kiedy Sikhowie z obstawy dokonali zamachu na Indirę Gandhi, Zulu i Chekov grali w squasha na prywatnym korcie w St John's Woods. W szatni przedwcześnie siwiejący, zasapany Chekov wyszedł spod prysznic i niespiesznie odwijął z wiotczającego

brzucha ręcznik, niechętnie odsłaniając swój skurczony z wyczerpania, fioletowy członek. Nagi Zulu stał dumnie wyprostowany, z potężnym kutasem, i potrząsał głową, rozczesując długie czarne włosy pieścziotliwymi ruchami, z kobiecą zmysłowością, po czym jednym ruchem zwinął je w kok.

- Dobry jesteś, Zulu. Masz świetne podania! Jesteś dla mnie za dobry.
- Wy, piloci pokładowi, już tak macie. Tracisz parę. Kiedyś byłeś niezmordowany.
- Tak... ja już mam z górki. Ale ty jesteś ode mnie młodszy tylko o jeden rok.
- Prowadzę zdrowszy tryb życia... działam, nie gadam.
- Zdajesz sobie sprawę, że będziemy musieli wymazać twoje nazwisko - Chekov zniżył głos.

Zulu przyjął pozę Atlasa i powoli obracał się przed lustrem.

- Wszystko musi wskazywać na to, że chodzi o odosobniony przypadek. Jeżeli cokolwiek nie wypali, musimy mieć możliwość złożenia dementi. Nawet twoja żona nie może się domyślać prawdy.

Zulu rozstawił szeroko nogi i wyciągnął ramiona, nadając swemu ciału kształt gigantycznej litery X. Przeciągał się niespiesznie, po czym stanął na baczność. W głosie Chekova zabrzmiała nuta irytacji.

- Zulu? Co ty na to?
- Transporter gotów?
- Przestań się wygłupiać i nie kręć dupą.
- Pan wybaczy, mister Chekov, ale to jest moja dupa. Pytam: transporter gotów?
- Transporter gotów, aye, sir.
- Wobec tego: uruchomić!

Raport Chekova, ściśle tajny, do wglądu wyłącznie JTK (Jamesa T. Kirka):

Doradzam odwołanie operacji Star Trek. Wysłanie nie uzbrojonego pracownika Federacji, z pochodzenia Klingona, w celu przeniknięcia do klingońskiej siatki uważam za nader ryzykowną próbę lojalności. Agent, o którym mowa, nigdy nie przejawiał najmniejszych dewiacji o charakterze ideologicznym, przez co zasługuje na wyróżnienie nawet w obecnym klimacie rozruchów, hysterii i strachu. Jeżeli nie uda mu się przekonać Klingonów o swojej wiarygodności, potraktują go z całą bezwzględnością. Klingoni nie biorą jeńców.

Całe przedsięwzięcie uważam za chybione. Lokalna społeczność Klingonów nie jest naszym głównym problemem. Jeżeli nawet akcja się powiedzie, uzyskane tą drogą informacje o ważniejszych osobistościach w kraju będą bez wątpienia niedokładne i mało istotne. Winniśmy

zalecić Dowództwu Floty Gwiazdnej bezzwłoczne poczynienie kroków mających na celu rozpatrzenie zażaleń i zaspokojenie aspiracji ludu klingońskiego. Dopóki sprawy te nie zostaną rozwiązane w sprawiedliwy sposób, dopóty nie można liczyć na trwałą spokój.

Odpowiedź JTK:

Niebezpiecznie komunistyczny charakter pańskiego pisma tłumaczę sobie pańską zażyłością ze wzmiankowanym osobnikiem. Definiowanie interesów narodowych i decydowanie o podjęciu tajnych misji wykracza jednak poza pańskie kompetencje. Do pańskich obowiązków należy umożliwienie takich operacji oraz zabezpieczenie wsparcia, zgodnie z przekazanymi zaleceniami. Na znak przychylności oraz przez wzgląd na pamięć wieloletniej przyjaźni, która łączyła mnie z pańskim szanownym Tatą, zniszczyłem pański ostatni list, nie zachowując żadnej kopii. Radzę panu uczynić to samo i zniszczyć tę notatkę.

Chekov poprosił Zulu, by ten zawiózł go do Stratfordu na przedstawienie Koriolana.

- Ile masz drobiazgu? Trójkę?

- Cztery sztuki - odparł Zulu. - Sami chłopcy.

- Wielkie nieba! Masz dobrą kobietę.

- Mam pełne serce. - Zulu nagle się wzruszył. - Pełny dom, pełny kałdun i pełne łóżko.

- Szczęściarz z ciebie - stwierdził Chekov. - Zawsze miałeś gorącą krew.

W przeciwieństwie do mnie. Gady, niektóre dinozaury i ja. Szukam żony. Może znasz jakieś odpowiednie kandydatki? Na pewnym etapie stan kawalerski staje się przeszkodą w karierze.

Zulu prowadził jakoś dziwnie. Gdy jechali na autostradzie pasem wolnego ruchu, niespodziewanie, tuż przed zjazdem, przyspieszył do stu mil na godzinę, lecz zaraz za zjazdem zwolnił. Chekov spostrzegł, że Zulu stale zmienia prędkość oraz pasy.

- Czy w tym gruchocie nie da się ustawić stałej prędkości? - zapytał. - Takie prowadzenie, stary, nie spotkałoby się z aprobatą na pokładzie jednostki flagowej Zjednoczonej Federacji Planet.

- Środki ostrożności... Gubienie ogona - oświadczył Zulu.

Chekov zaniepokojony zerknął przez tylną szybę.

- Namierzili nas?

- Nie ma obawy. - Zulu uśmiechnął się szeroko. - Ale ostrożność nie zawadzi. Trzeba być przygotowanym na najgorsze.

Chekov usadowił się wygodniej.

- Zawsze lubiłeś różne zabawki i gry - zauważył. Zulu był świetnym strzelcem,

mistrzem szkoły w zapasach i wyśmienitym szermierzem.

- Za to na wszystkich akademiach - zaczął Zulu - ja siedziałem w auli i klaskałem, a ty odbierałeś kolejne nagrody, z angielskiego, z historii, łaciny, za najlepszego ucznia w klasie. Klap, klap, klap. Semestr za semestrem, rok po roku. Za to w Dniu Sportu to ja odbierałem różne puchary. Teraz też mogę się czymś popisać.

- Masz już niezłą markę... o ile dobrze słyszałem.

Zapadła cisza. Anglia oddalała się z dużą prędkością.

- Lubisz Tolkiena? - zagadnął Zulu.

- Nie podejrzewałem, że lubisz książki - zdumiał się Chekov. - To żadna złośliwość.

- J. R. R. Tolkien - wyjaśnił Zulu. - Władca pierścieni.

- Nie będę udawał, że czytałem tego pana. Coś o nim oczywiście słyszałem. Elfy i wróżki. Nie wiedziałem, że ty to lubisz.

- Jest to opowieść o walce na śmierć i życie między Dobrem i Złem - mówił Zulu z zapalem. - I kiedy toczy się ta wielka wojna, jest na świecie takie miejsce, nazywa się Shire, gdzie nikt o niej nie wie. Mieszkają tam hobbity, które sobie pracują, kłócą się i świętują, i nie mają zielonego pojęcia o mocach, które im zagrażają, oraz o tych, które ratują im ich maleńkie żywociki. - Aż poczerwieniał z emocji.

- Zdaje się, że masz na myśli mnie.

- Ja jestem żołnierzem w tej wojnie - podjął Zulu. - Jak się siedzi w gabinetach, to nie ma się żadnego wyobrażenia o tym, jak wygląda prawdziwa rzeczywistość. Świat działania. Świat czynów: rzeczy, które się tworzy, a czasami trzeba zniszczyć. Świat życia i śmierci.

- Tylko w ostateczności - mruknął Chekov.

- Czy ja ci mówię, jak masz smarować ludziom tyłki tą miodoustą wazeliną?! - wybuchnął Zulu. - Więc mnie nie pouczaj.

Wiadomo, że żołnierze przed walką muszą się naładować, pomyślał Chekov. Należało się spodziewać tego bębnienia w piersi i nie trzeba się tym przejmować.

- Kiedy się ulatniasz? - zapytał spokojnym tonem.

- Chekov, dżi, nawet tego nie zauważysz.

Dojeżdżali do Stratfordu.

- Czy wiesz, że mapa Tolkiena tego Śródziemia pasuje do środkowej Anglii i Walii? Może właśnie tutaj są te wszystkie baśniowe krainy, wśród nas?

- Filozof z ciebie, Zu - zauważył Chekov. - Same objawienia...

Pewnego razu Chekov podejmował kolację kilka osób w swej nowocześnie urządzonej rezydencji w Hampstead: Wielkiego Biznesmena, o którego względy zabiegał, ulubionych dziennikarzy, wybitnych miłośników Indii oraz znanych Hindusów z kraju. Rozmawiano jak zwykle o interesach. Nie można pokazać, że to straszne wydarzenie zakołysało nawet państwową, której nowy kapitan, dumał Chekov, jest byłym pilotem. To tak, jakby jakiś Sulu albo jakiś Chekov otrzymali kapitańskie szlify.

Cholernie trudna sprawa bez małżonki w roli pani domu, utyskiwał w duchu Chekov. Najlepsza pozłacana zastawa z wielogłowym lwem pośrodku, najcieńsze kryształy, menu, wina. Przysłano mu wprawdzie personel z India House, ale to nie to samo. Tajemnica udanego przyjęcia, podobnie jak Boga, tkwi w detalach. Chekov wtrącał się do wszystkiego i denerwował.

Przyjęcie się udało. Przy koniaku gospodarz odważył się nawet trącić mroczniejszą strunę.

- Anglia od dawien dawna była kolebką naszych rewolucjonistów - oznajmił. - Czym byłby Pandit Nehru, gdyby nie Harrow? Albo Gandhi, gdyby nie spędził tutaj swoich formatywnych lat? Nawet pomysł Pakistanu zrodził się w głowach młodych radykałów w college'ach kraju, który wówczas kazano nam nazywać ojczyzną. Teraz, kiedy ranga Anglii zmalała, byłoby chyba logiczne mniemać, że to samo stało się z jakością formowanych przez nią rewolucjonistów. Tacy Kaszmirczycy! Beznadziejna sprawa. A ci z Khalistanu? Niech sobie nie wyobrażają, że ten ohydny akt w jakiegokolwiek mierze przybliży spełnienie ich marzeń. Wręcz przeciwnie. Wręcz przeciwnie. Wytrzebimy ich co do jednego.

Zorientował się ku swemu wielkiemu zdziwieniu, że mówi głośno i na stojąco. Usiadł gwałtownie i roześmiał się. Miał to już za sobą.

- Zabawna jest historia tego mojego cholernego przezwiska - zagadnął swoją sąsiadkę przy stole, nieprawdopodobnie młodą i urodziwą małżonkę siedemdziesięcioletniego Wielkiego Biznesmena. - W tamtych czasach nie oglądaliśmy tego serialu. Nie mieliśmy telewizji. Docierał do naszej malowniczej, położonej w górach placówki Dehradun jak jakaś legenda ze Stanów i Anglii. Później dostaliśmy parę tanich wydań książkowych, które wszyscy po kolei czytali, jakby to były jakieś sprośności w rodzaju *Kochanka lady C*. Wszyscy chłopcy wybierali sobie jakieś imię, ale tylko te dwa przetrwały próbę czasu. Może dlatego, że tamci dwaj zawsze byli razem, a my też potrafiliśmy się dogadać, chociaż on był ode mnie o rok młodszy. Śliczny chłopak. Tak jak Laurel i Hardy, tak my byliśmy Chekov i Zulu.

- Miłość i małżeństwo - powiedziała.

- Co takiego?

- Przecież pan to zna Pasują jak... chyba... mleko i płatki owsiane. Już wiem: auto i garaż. Uwielbiam stare piosenki. La-la-la-coś tam-bratki, smutno ci chyba bez matki...

- Tak, tak. Już sobie przypominam - powiedział Chekov.

3

Trzy miesiące później Zulu zadzwonił do żony.

- Mój Boże, gdzie ty jesteś? Umarłeś?

- Posłuchaj mnie, kochanie. Słuchaj uważnie, moja żono, moja ukochana.

- Tak. Okej. Jestem spokojna. Źle cię słyszeć, ale nie szkodzi.

- Zadzwoń do Chekova i powiedz: stan pogotowia.

- Arre! Jesteś na pogotowiu?!

- Zapamiętaj: stan pogotowia.

- Okej: pogotowie.

- Powiedz mu, że Klingoni coś zwęszyli.

- Pewnie sami śmierdzą. Czyli że co?

- Błagam cię, kochana.

- Wszystko mam. Zapisałam ołówkiem jedno i drugie.

- Powiedz mu, żeby Scotty namierzył mój sygnał i żeby mnie jeszcze raz teleportował.

- Niebawem! Nawet teraz nie możecie się oderwać od tej głupiej zabawy!

- Kochana, to pilne. Niech mnie teleportuje.

Chekov rzucił wszystko i wsiadł do samochodu. Gubił ogon zgodnie z instrukcją: objeżdżał ronda, ignorował czerwone światła, rozmyślnie skręcił w złą przecnicę, zatrzymywał się i zawracał, krążył, ile się dało, żeby się upewnić, że nikt się do niego nie przylepił, a na autostradzie powtarzał numery Zulu. Kiedy już miał absolutną pewność, że nikt za nim nie jedzie, ruszył prosto w kierunku miejsca spotkania. Len Deighton to pikuś, pomyślał. Zawiadomcie Le Carrégo.

Zjechał z autostrady na boczną drogę. Spomiędzy drzew wyłonił się mężczyzna, czysty i elegancki. Zulu.

Chekov wyskoczył z auta i objął przyjaciela, całując go w oba policzki. Ostry zarost Zulu drapał go w wargi.

- Myślałem, że ci urwało ramię albo że będziesz miał krwawiącą ranę postrzałową, albo

choć sińce pod oczami - powiedział. - A ty jesteś wystrojony jak do teatru, brakuje ci tylko peleryny i laseczki.

- Misja zakończona - zameldował Zulu, klepiąc się po kieszeni na piersi. - Wszystko w porządku.

- Wobec tego co miał oznaczać ten numer ze „stanem pogotowia”?

- Przecież nie zawsze dochodzi do realizacji najgorszego scenariusza...

W samochodzie Chekov przeczytał nazwiska, miejscowości, daty, które przekazał mu Zulu w brązowej kopercie. Było tam więcej informacji, niż oczekiwał. Z tego anonimowego punktu w Midlands padało światło na pewne zabite deskami wsie i miejskie zaułki w Pendżabie. Zorganizuje się obławę i co najmniej paru wichrzycieli nie znajdzie już ciemnych kryjówek.

Zagwizdał z podziwu.

Zulu, który siedział na miejscu pasażera, pochylił głowę.

- Lepiej ruszajmy. Nie trzeba kusić losu. Jechali przez Śródziemnie na południe.

Wkrótce po tym, jak zjechali z autostrady, Zulu powiedział:

- Nawiasem mówiąc, wypisuję się.

Chekov zahamował. Między domami po lewej stronie majaczyły wieże Wembley.

- Co takiego?! Dałeś się przekabacić tym ekstremistom?

- Chekov, nie bądź głupi. Po co komu ekstremiści, kiedy w Delhi giną ludzie? Setki, a może nawet tysiące. Skalpuje się Sikhów i pali żywcem na oczach rodziny. Chłopców też.

- Wiemy o tym.

- Wobec tego wiemy też, kto się za tym kryje.

- Nie ma żadnych poszlak - Chekov powtarzał wytyczne.

- Są naoczni świadkowie i zdjęcia - powiedział Zulu. - Wiemy o tym.

- Są tacy, którzy uważają - Chekov cedził słowa - że po tym, co spotkało Indirę, Sikhowie zasłużyli na to wszystko.

Zulu zeszywniał.

- Mam nadzieję, że znasz mnie trochę lepiej, Zulu - mówił Chekov. - Zulu, zrozum. Całe nasze życie...

- Żadnego działacza Kongresu nie postawiono w stan oskarżenia - przypomniał mu Zulu. - Pomimo wszystkich dowodów współdziałał. W związku z tym wycofuję się. Ty też powinieneś to zrobić.

- Jak zostałeś takim wielkim radykałem, to dlaczego przekazałeś mi tę listę?! Dlaczego zatrzymujesz się w pół drogi?

- Jestem zwyczajnym agentem - powiedział Zulu, otwierając drzwi. - Wszyscy terroryści są moimi wrogami. Okazuje się jednak, że w twoim wypadku, w pewnych okolicznościach, tak nie jest.

- Zulu, psia krew, wsiadaj! - krzyknął Chekov. - Pomyśl o swojej karierze! O żonie i czterech chłopakach, których masz na utrzymaniu! O kumplach! Chcesz mnie zostawić?!

Ale Zulu już nie słyszał.

Chekov i Zulu nie spotkali się więcej. Zulu osiadł w Bombaju. W miarę jak w tym bogatym mieście sukcesu w sektorze prywatnym rósł popyt na ochroniarzy, rozrastały się i kwitły jego firmy: Tarcza Zulusa i Oszczep Zulusa. Spłodził jeszcze troje dzieci, samych chłopców, i po dziś dzień jest szczęśliwy ze swoją żoną.

Chekov natomiast nigdy się nie ożenił. Mimo to nadal odnosił sukcesy w wybranej profesji. Stale awansował. Lecz pewnego dnia w maju roku 1991 przez przypadek był w grupie towarzyszącej panu Rajivowi Gandhii podczas wizyty w południowoindyjskiej wiosce Śriperum-budur, gdzie Rajiv miał wygłosić przemówienie na przedwyborczym wiecu. Nie podjęto szczególnych środków bezpieczeństwa. Świadomie, Rajiv bowiem uważał, że podczas poprzedniej kampanii wyborczej służby specjalne stworzyły zbyt wysoką barierę między nim i wyborcami. Tym razem zdecydował, że wyborcy muszą czuć jego bliskość. Po przemówieniach cała świta Rajiva zeszła z podium. Chekov, który szedł kilka kroków za nim, spostrzegł, że z tłumu wysunęła się drobna, uśmiechnięta, tamilska kobieta. Uścisnęła Rajivowi dłoń, ale jej nie puściła. Chekov pojął, dlaczego kobieta się uśmiecha. Świadomość ta sprawiła, że czas stanął w miejscu.

Ponieważ czas się zatrzymał, Chekov mógł dokonać paru spostrzeżeń. Ci tamilscy rewolucjoniści nie przyjechali z Anglii, zauważył. Więc jednak w końcu nauczyliśmy się produkować coś w kraju i już niepotrzebny nam import. Przyjdzie się pożegnać z tym niezawodnym tematem konwersacji podczas bankietów. I w nieco lżejszym duchu pomyślał: Nie jest ważne, jak się umiera, ale jak się żyło.

Wszystko dokoła niego rozpląnęło się w powodzi światła. Znalazł się na mostku Enterprise'a. Wszystkie ważne postacie były na swoich miejscach. Z przodu siedzieli obok siebie Zulu i Chekov.

- Straciliśmy osłony! - zameldował Zulu. Na głównym ekranie ujrzeli, jak z ciemności wyłania się *Drapieżny ptak* Klingonów i przygotowuje się do ataku.

- Jedno trafienie i po nas! - krzyknął doktor McCoy. - Jim, zrób coś! Wydostań nas stąd!

- To nielogiczne - zauważył pierwszy oficer Spock. - Stopień uszkodzeń naszego napędu wyklucza osiągnięcie prędkości nadświetlnej. Sam napęd planetarny nie wystarczy, by umknąć *Drapieżnemu ptakowi*. Jedynym logicznym rozwiązaniem jest bezwarunkowe poddanie się.

- Poddać się Klingonom?! Ty zimnokrwisty kalkulatorze ze szpiczastymi uszami! Czy ty nie wiesz, jak oni traktują swoich jeńców?!

- Baterie fazyerów wyczerpane - meldował Zulu. - Zdolność do ataku: zero.

- Czy mam podjąć próbę nawiązania kontaktu z dowódcą Klingonów? - zapytał Chekov. - Lada chwila mogą otworzyć ogień.

- Dziękuję, Chekov - powiedział kapitan Kirk. - Obawiam się, że to nie będzie konieczne. Tym razem jesteśmy zmuszeni odegrać najgorszy scenariusz. Wszyscy na stanowiska. Utrzymać kurs!

- Przeciwnik otworzył ogień, sir - poinformował Zulu.

Chekov chwycił dłoń Zulu w zwycięskim uścisku, podczas gdy rozpędzone kule śmiertelniego światła zbliżały się do Enterprise'a.

Absolutnie-Mary była najmniejszą kobietą, poza karlicami, jaką Poplątany kiedykolwiek widział. Drobniutka sześćdziesięcioletnia Hinduska z siwiejącymi włosami ściągniętymi w skromny koczek unosiła czerwony brzeg białego sari, mozolnie wspinając się po schodach prowadzących do kamienicy, piętrzących się przed nią niczym Alpy.

- Nie - powiedział na głos, ściągając brwi. Szukał bardziej odpowiednich szczytów. O, znalazł! - Ghaty - oznajmił z dumą. Wyraz pochodził ze szkolnego atlasu, sprzed wielu lat, kiedy Indie wydawały się tak odległe jak raj. (Teraz raj był jeszcze dalej, Indie zaś, a także piekło, bardzo się przybliżyły.) - Ghaty Zachodnie, Ghaty Wschodnie, a teraz Ghaty Kensingtonskie - wyliczał, rechocząc. - Góry.

Stała przed nim w holu wyłożonym dębową boazerią.

- Ale w Indiach ghaty to także schody. Tak, tak, absolutnie. Na przykład w hindi święte miasto Waranasi, tam gdzie bramini wyciągają fieniądze od pielgrzymów, nazywa się Dasaśwamedh-ghat. Szerokie, szerokie schody do rzeki Ganges. Absolutnie! Jest też Manikarnika-ghat. Kufuje się tam ogień, w domu ze skaczącym tygrysem na dachu... Absolutnie. Rzeźbiony tygrys... w technikolorze! Proszę sobie nie myśleć!... Ludzie wynoszą ten ogień w fudełku, żeby fofalić zwłoki swoich bliskich. Stosy fofrzebowe robi się z drewna sandałowego. Nie wolno ich fotografować. Absolutnie.

Nazwał ją Absolutnie-Mary, ponieważ nigdy nie mówiła jasno „tak” lub „nie”; zawsze „absolutnie tak” lub „absolutnie nie”. Nie ufając swojemu mózgowi - jedynej rzeczy, na której mógł ongiś polegać - od kiedy go zawiódł, Poplątany przestał mieć pewność w jakiegokolwiek sprawie. Dlatego też stanowczość Absolutnie-Mary najpierw wprawiała go w nastrój nostalgiczny, później napawała zawiścią, a na koniec stała się interesująca. Zdążył już zapomnieć o czymś takim jak zainteresowanie drugą osobą, więc kiedy zaczął odczuwać ucisk w dołku, przez dłuższy czas uważał, że przyczyną są chińskie pierożki, które przyniósł do domu z knajpki przy High Street.

Absolutnie-Mary miała trudności z opanowaniem angielskiego i, po części, właśnie to pociągało w niej biednego Poplątanego. Największy kłopot miała z literą „p”, którą często zastępowała „f” lub „k”. Przechodząc przez hol z torbą na kółkach, potrafiła powiedzieć: „Idę

na zakupy”, a gdy w powrotnej drodze Poplątany ofiarowywał się wnieść torbę po naszych frontowych ghatach, mówiła: „Jaki fan ufrzejmy”. Już z windy wołała przez kraty: „Dziękuję fanu bardzo!” (Niemniej jednak, kiedy posługiwała się hindi lub konkani, jej „p” zawsze trafiało we właściwe miejsce.)

I tak dzięki jej tajemniczemu czarowi, który potrafił ścisnąć żołądek, Poplątany z pana przemienił się w jej fana.

- Fan - powtórzył do lustra, gdy już zniknęła. Jego oddech zostawił na szybie ślad tego słowa. - Fan, fan, fan. - Okej. Ludzie różnie go nazywają, więc nie będzie się tym przejmował. Tym razem jednak postara się być fanem.

2

Od wielu lat nosiłem się z zamiarem spisania historii Absolutnie-Mary, naszej niani, kobiety, która wychowała mnie i moje siostry w równej mierze co nasza matka, i jej „fana” z Londynu, gdzie na początku lat sześćdziesiątych mieszkaliśmy w domu o nazwie Weverly House. Różne okoliczności sprawiły, że nie zrobiłem tego wcześniej.

Niedawno jednak, po długiej przerwie, otrzymałem list od Absolutnie-Mary. Nasza aja donosiła mi, że ma dziewięćdziesiąt jeden lat i przeszła poważną operację, oraz prosiła, bym przysłał jej trochę pieniędzy, ponieważ krępuje ją świadomość, że jej siostrzenica, u której teraz mieszka w Bombaju w dzielnicy Kuria, ma tak skromne dochody.

Wysłałem pieniądze. Wkrótce otrzymałem list od owej bratanicy, Stelli, pisany tym samym charakterem co list od aji, którą - jak się dowiedziałem - niezmiernie wzruszyło, te pamiętam o niej po tylu latach. „Ciągłe dowiaduję się o was czegoś nowego”, pisała Stella. „Wydaje mi się, że stanowicie część mojej rodziny. Być może ktoś z was pamięta moją matkę, siostrę Mary. Niestety nie ma już jej wśród nas. Teraz ja piszę listy w imieniu Mary. Życzymy wam wszelkiej pomyślności”.

To przesłanie od bliskiej obcej mi osoby, otrzymane na wygnaniu, z dala od ukochanego kraju, w którym przyszedłem na świat, poruszyło we mnie najgłębiej ukryte emocje. Oprócz tego obudziło wyrzuty sumienia, że tak mało zrobiłem dla Mary w minionych latach. Za wszelką cenę postanowiłem przelać na papier historię, która przez cały ten czas pozostawała nie spisana: historię naszej niani oraz tego cichego mężczyzny, którego nazwała „fanem”, nieświadomie wprawdzie, lecz z pewnym proroczym, romantycznym podtekstem. Jest to historia nie tylko tych dwojga, ale także nasza, moja.

3

Naprawdę nazywał się Mecir; my jednak mieliśmy mówić o nim Miszirsz z powodu pewnych niewidocznych akcentów w którymś z języków zza Żelaznej Kurtyny, gdzie akcenty takie, jak nam tłumaczyła nasza siostra Durré, musiały pozostawać niedostrzegalne. Ktoś mógłby je szpiegować, wymazać albo zrobić z nimi jeszcze coś innego. Jego imię też zaczynało się na „m”, ale było w nim tyle komunistycznych spółgłosek, jak je nazywaliśmy: te różne „ż” i „cz” i „ł” bez żadnych spółgłosek na oddech, że nawet nie próbowałem się go nauczyć.

Początkowo chcieliśmy nadać mu imię jednego z podłych bohaterów komiksów: Mister Mxyztplk z Piątego Wymiaru, który trochę przypominał Elmera Fudda i nie dawał spokoju Supermanowi, dopóki Supe nie zapędził go w kozi róg, każąc mu powiedzieć jego imię od końca, czyli Klptzyxm. Wówczas Mxyztplk zniknął w Piątym Wymiarze. Ponieważ jednak nie bardzo potrafiliśmy wymówić Mxyztplk (nie wspominając o Klptzyxm) zarzuciliśmy ten pomysł.

- Będziemy pana nazywać Poplątany - poinformowałem go pewnego dnia, żeby uprościć sprawę. - Pan Poplątany Miszirsz. - Miałem wtedy piętnaście lat i potrafiłem mówić ludziom takie rzeczy prosto w oczy, nawet osobnikom mniej cierpliwym od pana Mecira po wylewie.

Najmocniej utkwily mi w pamięci jego różowe gumowe rękawice, których chyba nigdy nie zdejmował, dopóki nie zaczął odwiedzać Absolutnie-Mary...

Pewnego razu powiedziałem mu coś obraźliwego, kiedy moje siostry, Durré i Muneeza, już chichotały w windzie, na co Mecir uśmiechnął się łagodnie, pokiwał głową i odparł:

- Możesz mnie nazywać, jak sobie chcesz. - I dalej polerował mosiężne klamki i poręcze. Jeżeli on zawsze ma reagować w ten sposób, to nie warto mu dokuczać, pomyślałem i wsiałem do windy. Przez całą drogę na czwarte piętro śpiewaliśmy na cały głos *I Can't Stop Loving You*, naśladując Raya Charlesa, co musiało brzmieć przeraźliwie.

Przyszły wakacje roku 1962. Moja najmłodsza siostra Scheherezade miała zaledwie rok, Durré była kipiącą energią czternastolatką, a Muneeza, ledwie dziesięcioletnia, zapowiadała się całkiem nieźle. We trójkę - a właściwie tylko Durré i ja, Muneeza bowiem natarczywie i nieskutecznie starała się do nas przyłączyć - stawaliśmy nad łóżeczkiem małej i śpiewaliśmy jej piosenki.

- Żadnych piosenek dla dzieci - zaordynowała Durré, i tak zostało, bo chociaż miała rok mniej niż ja, była urodzonym przywódcą. Kołysanki, które śpiewaliśmy małej Scheherezade, pochodziły z repertuaru Chubby'ego Checkera, Neila Sedaki, Elvisa i Pata Boone'a.

- Wracaj do domu, Speedy Gonzales! - ryczeliliśmy, fałszując rozkosznie. Najczęściej jednak odgrywaliśmy przrzucanie, z podskokami, bel bawełny i najchętniej przrzucalibyśmy je przez cały dzień, gdyby nie narzekania maharadży B., który mieszkał pod nami. Przychodziła do nas wówczas aja i kazała nam się uspokoić.

- Patrzcie, przyszła Jumble-aja, narzeczona Poplątanego! - wołała Durré, na co Mary strasznie się czerwieniła. Więc natychmiast intonowaliśmy kolejny, stosowny kawałek. Mała zaczynała się drzeć, ojciec wpadał do pokoju niczym rozjuszony buhaj, a nam nie pozostawało nic innego, jak zdać się na łaskę losu.

Po roku mojego pobytu w Anglii, w szkole z internatem, ojciec postanowił sprowadzić tu całą rodzinę. Decyzji tej, jak zresztą żadnej innej, z nikim nie konsultował, nawet z matką. Na początek wynajął dwa sąsiadujące ze sobą mieszkania w obskurnym kompleksie Graham Court w Bayswater, przy bezimiennej uliczce nieopodal kina ABC Queensway. W jednym zainstalował się sam, w drugim upchnął matkę, moje trzy siostry, nianię oraz, podczas ferii, mnie. Anglia, gdzie alkohol był ogólnie dostępny, nie popsowała mu dobrego humoru, więc w pewnym sensie dobrze się stało, że mieszkaliśmy osobno.

Prawie codziennie opróżniał butelkę johnniego walkera red label i syfon wody sodowej. Matka nie miała odwagi zachodzić do „tej speluny” wieczorami. „Brzydko na mnie patrzy”, mawiała wówczas.

Niania zanosila mu kolacje i była na każde jego wezwanie (ilekroć czegoś chciał, telefonował do nas). Nie mam pojęcia, dlaczego oszczędził jej pijackich awantur. Mary twierdziła, że jako osoba starsza od niego o dziewięć lat może go zmusić do okazywania jej

należnego szacunku.

Kilka miesięcy później ojciec wynajął trypokojowe mieszkanie na czwartym piętrze w kamienicy Weverley House przy Kensington Court, Londyn W8. Na liście lokatorów było dwóch maharadzów: używający życia księżę P. oraz stary B., o którym już była mowa. Teraz mieszkaliśmy stłoczeni wszyscy razem: rodzice i Szary Zadek (pieszczotliwe przezwisko naszej najmłodszej siostry) w jednej sypialni, nasza trójka w znacznie mniejszym pokoju, a Mary, wstyd się przyznać, na macie w holu. W trzeciej sypialni mieściło się biuro ojca, gdzie znajdował się telefon, *Encyclopaedia Britannica*, roczniki „Reader’s Digest” i telewizor (w szafce zamykanej na klucz). Wchodziliśmy tam z narażeniem życia. Niczym do komnaty Minotaura.

Pewnego razu matka namówiła go, by kupił w aptece jakieś rzeczy dla małej. Wrócił wyraźnie nadąsany, jak uczeń. Po raz pierwszy w życiu zobaczyłem go w takim stanie. Trzymał dłoń na policzku.

- Uderzyła mnie - pożałił się.

- O, Allah! Kochanie! - zakrzyknęła matka. - Kto cię uderzył? Skaleczyłeś się? Pokaż, niech obejrzę.

- Ja nic nie zrobiłem - oświadczył, stojąc w holu z torebką z apteki i twarzą różową jak rękawiczki Mecira. - Czytałem z twojej kartki. Ta panienka sprawiała wrażenie bardzo miłej. Przyniosła mi odżywkę, zasypkę i żel na ząbkowanie. Ale jak poprosiłem, żeby mi dała cycki, uderzyła mnie w twarz.

Matka oniemiała.

- Tylko za to?

Absolutnie-Mary stanęła po jej stronie.

- O co jej foszło?! - dopytywała się. - Byłam w tej aptece i widziałam ich tam fęno, różnej wielkości, i to na samym widoku.

Durré i Muneza dłużej już nie mogły się pohamować. Padły na podłogę, kwicząc ze śmiechu i wymachując nogami w powietrzu.

- Uspokójcie się natychmiast! - krzyknęła matka. - Jakaś wariatka uderzyła waszego ojca w twarz! Co w tym śmiesznego?!

- Oj, niech skonam! - wysapała Durré. - Poprosiłeś ją... - Znowu dostała ataku śmiechu, chwyciła się za brzuch i zaczęła tupać. - „I proszę mi dać cycki”?!

Ojciec zjeżył się i poczerwieniał. Durre spoważniała.

- Ależ papo - odezwała się w końcu. - Tutaj mówią na to smoczki albo dydki.

Teraz matka i Mary zakryły usta dłońmi, a ojciec stał zaszokowany.

- Za grosz wstydu! - matka odzyskała głos. - Tak samo jak to, co mamy na piersi? - Zawstydzona z dezaprobatą kręciła głową.

- Ach, ci Anglicy - westchnęła Absolutnie-Mary. - W głowie się nie mieści. Absolutnie.

Wspominam to wydarzenie z rozkoszą, ponieważ jedyny raz w życiu widziałem wtedy, jak ojciec stracił pewność siebie. Incydent ten przeszedł do historii rodziny, a dziewczyna z apteki zyskała sobie nasz głęboki szacunek. (Poszliśmy z Durré ją obejrzyć: okazała się zwyczajną, niską siedemnastolatką z wielkim biustem. Kiedy zobaczyła, że coś szepczemy w kącie, popatrzyła na nas tak groźnie, że daliśmy nogę.) Również dlatego, że wśród tej ogólnej wesołości udało mi się ukryć wstydlivy fakt, że mimo tak długiej bytności w Anglii, popełniłbym tę samą pomyłkę.

Nie tylko moi rodzice i Absolutnie-Mary mieli kłopoty z angielskim. Koledzy z klasy chichotali nieprzychylnie, kiedy posługując się bombajską angielszczyzną, mówiłem „trzykroć” zamiast „trzy razy” albo nazywałem „makaronem” wszystkie kluski. Różnica między „cyckiem” i „dydkiem” wykraczała daleko poza moje możliwości poszerzania słownictwa.

5

Byłem trochę zazdrosny, gdy Poplątany odwiedził Absolutnie-Mary. Zadzwoił do drzwi i czekał, drżąc z szacunku, w starym, za dużym garniturze, ze spodniami mocno ściągniętymi paskiem, bez gumowych rękawic, za to z różami. Otworzył mu ojciec, który obrzucił go miażdżącym spojrzeniem. Papa, jako snob, ubolewał nad tym, że nasze mieszkanie nie ma osobnego wejścia dla służby, i każdego, nawet portiera, należy traktować jak istotę z tego samego świata co on.

- Mary... - bąknął Poplątany, oblizując wargi i odgarniając siwe włosy. - W odwiedzin... do panny Mary.

- Proszę zaczekać - odrzekł ojciec, zamykając mu drzwi przed nosem.

Od tej pory Absolutnie-Mary spędzała wszystkie swoje wychodne z Poplątanym, mimo że pierwsza randka nie bardzo się udała. Zabrał ją do zachodniej części miasta, by pokazać jej

londyńskie atrakcje, których nie miała okazji obejrzeć. Na szczycie ruchomych schodów pod Picadilly Circus, kiedy Mecir w skupieniu czytał jej teksty reklamowe na plakatach, jej sari zahaczyło o coś i zaczęło się rozwijać. Mary kręciła się w kółko jak bąk i wrzeszczała na cały głos. Uratował ją Poplątany, naciskając odpowiedni przycisk. Gdyby nie on, cały świat ujrzałby ją w halce.

- Dziękuję fanu! - łkała na jego ramieniu. - Już nie chcę żadnych Fikadilly! Przenigdy! Absolutnie!

Moje serce biło dla serdecznej przyjaciółki Durré, Polki imieniem Rozalia, która podczas wakacji pracowała w sklepie z obuwem przy Oxford Street. Uganiałem się za nią przez całe wakacje, a potem, już nieco rzadziej, przez następne dwa lata. Czasami pozwalała mi się zabrać na lunch, a wtedy kupowałem jej colę i kanapkę, i raz poszła ze mną na pierwszy mecz Jimmy'ego Greavesa ze Spursami. Dopingowaliśmy go jak opętani. Po tym wydarzeniu zaprowadziła mnie nawet na zaplecze sklepu, gdzie pocałowała mnie dwa razy i pozwoliła dotknąć piersi. Dalej się nie posunąłem.

Była też Chandni, poniekąd moja kuzynka (siostra jej matki wyszła bowiem za brata mojej, ale już nie są razem), półtora roku starsza ode mnie i taka seksy, że chciało się płakać. Uczyła się klasycznego tańca hinduskiego, odissi i natjam, ale w wolnych chwilach chodziła w obcisłych czarnych dżinsach i obcisłym czarnym sweterku polo. Zabierała mnie, od czasu do czasu, do folkowego klubu Bunjie's, gdzie znała prawie wszystkich bywalców i gdzie wołano na nią Moonlight, Światło Księżycy, czyli właśnie Chandni. Paliłem z nimi papierosa za papierosem, po czym gnany nudnościami pędziłem do toalety.

Chandni była idealnym tematem obsesji, marzeniem nastolatka, Księżycową Rzeką na Ziemi, jak święta rzeka Ganges, odzianym w obcisłą czerń. Lecz ja byłem dla niej małym kuzynkiem, dla którego była miła, ponieważ jeszcze nie poznał życia.

„Sheery, czy dasz się zaproosić?”, jodłowali Four Seasons. Doskonale wiedziałem, co czują. „Przyjdź, przyjdź, wieczno-orem”. I mnie pokochaj.

6

Wybierali się na spacer do Kensington Gardens. - Piotruś Pan - mówił Poplątany, wskazując rzeźbę. - Zaginiony chłopiec. Nigdy się nie zestarzał.

Chodzili po magazynach Barkers, Pontings, Derry & Toms, wybierając meble i zasłony do wyimaginowanych mieszkań. Włoczyli się po supermarketach, gdzie kupowali sobie małe smakołyki. W ciasnym saloniku Mecira pili herbatę, którą on nazywał „szympanią”, i robili grzanki na elektrycznym słoneczku.

Dzięki Poplątanemu Absolutnie-Mary nareszcie mogła oglądać telewizję. Najbardziej lubiła programy dla dzieci, szczególnie Jaskiniowców. Pewnego razu, rozbawiona swoją śmiałością, chichocząc, wyznała Poplątanemu, że Fred i Wilma przypominają jej pracodawców, na co on równie odważnie wskazał najpierw na nią, potem na siebie, uśmiechnął się szeroko i powiedział: „Betty i Barney”.

Później, podczas dziennika, jakiś Anglik o wyglądzie lisa chytrusa, z cienkim wąsikiem i błędnym spojrzeniem, wygłosił płomienne ostrzeżenie przeciwko imigrantom, na co Absolutnie-Mary machnęła ręką w stronę telewizora i dała wyraz swojego oburzenia w niezrozumiałym dla gospodarza języku. Natychmiast pospieszyła z tłumaczeniem:

- Niepotrzebnie strzępi sobie język. Nieszczęśnik! Wyłącz to.

Nierzadko przeszkadzali im dwaj maharadzowie, którzy schodzili na dół, by umknąć przed żonami oraz by telefonować do innych kobiet z automatu, który znajdował się w mieszkaniu portiera.

- Zapomnij o nim, maleńka - mówił hołdujący rozrywkom książę P., który zawsze paradował w tenisowej bieli. Opały złoty rolex ginął niemal w czarnym owłosieniu jego nadgarstka. - Zaznasz więcej przyjemności ze mną niż z nim. Zechciej tylko wejść do mojego świata.

Maharadza B. był starszy, brzydszy i bardziej rzeczowy:

- Tak, proszę przynieść wszystkie przybory. Pokój jest zarezerwowany na pana Douglasa Home'a. Od szóstej czterdzieści pięć do siódmej piętnaście. Ma pani kartę upoważniającą do zniżki? Tak, oczywiście. Oraz dwustopową linijkę, koniecznie drewnianą. I fartuszek z falbankami.

Oto, jakie wspomnienia pozostały mi z Waverley House: atmosfera nieudanych związków, alkoholu, męskich przygód i niespełnionych żądz nastolatków; maharadza P., który każdego wieczoru z piskiem opon ruszał czerwonym sportowym samochodem w towarzystwie różnych blondynek w nocne życie Londynu, oraz maharadza B., mimo mroku wymykający się na Kensington High Street w czarnych okularach i w płaszczu z podniesionym kołnierzem,

choć był środek lata. W samym sercu tego naszego świata Absolutnie-Mary oraz jej fan popijali „szympanią” herbatę i śpiewali hymn narodowy naszej Opoki.

Naprawdę jednak wcale nie przypominali Barneya i Betty Rubble. Byli grzeczni i uprzejmi, wręcz dworscy. On prawil jej komplementy, a ona, niczym skromna debiutantka z wachlarzem, pochylała głowę i przyjmowała je z godnością.

7

Podczas przerwy semestralnej w roku 1963 przyszło mi spędzić weekend w Beccles w hrabstwie Suffolk, u marszałka polnego sir Charlesa Lutwidge’a-Dodgsona, weterana z Indii i przyjaciela rodziny, który poparł moje podanie o obywatelstwo brytyjskie. Dodo, jak go nazywano, wyraził chęć poznania mnie bliżej.

Był to mężczyzna potężnej budowy, o obwisłych policzkach; olbrzym, który zamieszkał w domku krytym strzechą, gdzie nieustannie obijał się o belki stropowe. Nic dziwnego, że bywał nie do zniesienia. Znalazł się w piekle, Guliwer uwięziony w tej różanej krainie Liliputów, wśród kościelnych dzwonów, sepiowych fotografii i starych wojskowych trąbek.

Wizyta przebiegała w sztywnej i napiętej atmosferze, dopóki Dodo nie zapytał, czy gram w szachy. Przytaknąłem, mimo że na myśl o partii z marszałkiem polnym ogarnęło mnie przerażenie. Dziewięćdziesiąt minut później, ku swojemu zdumieniu, wyszedłem z próby zwycięsko.

Zaszedłem do kuchni z bohatercko wypiętą piersią i zamiarem pochwalenia się pani Liddell, wieloletniej gospodyni marszałka, lecz już od drzwi usłyszałem:

- Nic nie mów: wygrałeś.

- Tak - odparłem nonszalancko. - Istotnie.

- O, Boże - westchnęła pani Liddell. - Teraz dopiero będzie piekło. Idź i poproś go o drugą partię. Masz przegrać.

Zrobiłem, jak mi kazała, lecz już więcej nie dostałem zaproszenia do Beccles.

Mimo to wiktoria nad Dodo sprawiła, że poczułem się bardzo pewnie przy szachownicy. Kiedy po egzaminach przyjechałem do domu, natychmiast otrzymałem zaproszenie, by zagrać z Poplątanym. (Mary z dumą i odrobiną przesady opowiedziała mu o moim zwycięstwie pod Beccles.)

- Czemu nie? - powiedziałem. - Rozłożę tego starego niezdare w kilka minut.

Skończyło się potworną masakrą. Poplątany nie tylko mnie pobił, ale wręcz położył mnie na obie łopatki. Nie mogłem uwierzyć w to chytre otwarcie, płynność rozgrywki, siłę ataków oraz w swoją bezradność. Poprosiłem o rewanż. Tym razem rozgromił mnie jeszcze straszliwiej. Pod koniec byłem bliski łez. „Duże dziewczynki nie płaczą”, upominałem siebie, lecz słowa piosenki dźwięczały mi dalej: „Tylko tak się tłumaczą”.

- Kim pan jest?! - zapytałem upokorzony. - Diabłem wcielonym?

Poplątany uśmiechnął się głupkowato.

- Arcymistrzem - odparł. - Dawno temu. Przed wylewem.

- Arcymistrzem... - powtórzyłem oszołomiony. W tej samej chwili ku swojemu przerażeniu przypomniałem sobie nazwisko Mecir z książek z opisami klasycznych partii. - Nimzo-Indian - powiedziałem.

Poplątany rozpromienił się i energicznie pokiwał głową.

- Ten sam Mecir? - dopytywałem się.

- Ten sam. - Z kącika drgających ust spływała mu strużka śliny. O tym starym i schorowanym człowieku pisano w książkach. Pisano o nim. Nawet teraz, kiedy jego mózg ledwie funkcjonował, potrafił zrobić ze mnie miazgę.

- Teraz zagraj z panią - zaproponował z uśmiechem.

Nie zrozumiałem.

- Z panią Mary. Tak, absolutnie.

Czekała na moją odpowiedź, nalewając herbatę.

- Aja, ty przecież nie umiesz - powiedziałem z niedowierzaniem.

- Uczę się - odparła. - No jak, zagramy? Tylko jedną fartię.

Ona także skatowała mnie do utraty przytomności, na dodatek czarnymi! Nie był to najwspanialszy dzień mojego życia.

100 modelowych rozgrywek szachowych Roberta Reshevsky'ego, wydanie z roku 1961:

M. Mecir - M. Najdorf

Dallas 1950. Obrona Nimzo-Indian.

Trudno odeprzeć atak taktyka, jeszcze trudniej - stratega. Podczas gdy taktyk może się okazać nieomylny, strateg stwarza zagrożenie, trzymając niektóre rozwiązania w zawieszaniu. Grozi zagrożeniem!

Na przykład: Mecir stawia skoczka na D6, aby kontrolować centrum. Następnie ustawia wolnego pionka na skrzydle, aby zmusić przeciwnika do koncentracji sił po stronie królowej. W końcu komplikuje pozycję po stronie króla. Co robi zdeorientowany przeciwnik? Jak się bronić na tyłu frontach? Z której strony spadnie cios?

Popatrzmy, jak Mecir nęka Najdorfa, wyprowadzając atak to jednym skrzydłem, to drugim!

Szachy stały się ich intymnym językiem. Biedny Pomyłony, który z trudem dobierał słowa, na szachownicy odzyskiwał swobodę i precyzję, które zniknęły z jego mowy. Absolutnie-Mary w miarę postępów - uczyła się w zawrotnym tempie, myślałem rozgoryczony, jak na kogoś, kto nie umie czytać, pisać ani wymawiać litery „p” - coraz lepiej pojmowała i reagowała na błyskotliwość umysłu schorowanego mistrza, z którym tak niespodziewanie połączyła ją silna więź.

Uczył ją cierpliwie, bez słów, pokazując poszczególne ruchy, powtarzając otwarcia, kombinacje i sposoby zamykania partii, dopóki nie zrozumiała znaczenia tych układów. Kiedy grali razem, dawał jej fory, podpowiadał najlepsze posunięcia, demonstrował ich konsekwencje. W ten sposób krok po kroku wciągał ją w nieskończone możliwości tej gry.

Tak wyglądały ich zaloty.

- To jest jak fszygoda - próbowała mi tłumaczyć. - Jakbym razem z nim była w jego kraju, rozumiesz? Co to za kraina?! Piękna, niebezpieczna, zabawna i fełna zagadek. To dla mnie wielkie, wielkie odkrycie. Jak ci to fowiedzieć? Przepadam za szachami. Fantastyczna gra.

Dopiero wtedy pojąłem, jak bardzo się zaangażowali. Absolutnie-Mary nigdy nie miała męża i oświadczyła Pomylonemu, że w jej wieku już za późno na takie błazeństwa. Fan natomiast był wdowcem i miał dorosłe dzieci, które już dawno stracił z oczu za coraz wyższymi murami Europy Wschodniej. Szachy stały się dla nich formą flirtu, nie kończącą się nowością, która wykluczała nudę, rycerską krainą czarów starzejących się serc.

Co powiedziałyby na to Dodo? Na pewno byłyby oburzone na wieść, że szachy, akurat one, ta wspaniała forma wojny, zostały wykorzystane jako sztuka miłości.

A ja? Po ciosach, które zadali mi Absolutnie-Mary oraz jej fan, doświadczyłem kolejnych upokorzeń. Durré i Muneza zachorowały na świnkę i pomimo usilnych starań naszej matki, by nas izolować, w końcu i ja się rozchorowałem. Leżałem przerażony w łóżku, podczas gdy doktor radził mi, bym za żadne skarby nie wstawał i nie chodził.

- Jeżeli będziesz wstawał, rodzice już nie będą musieli cię karać. Sam sobie wymierzysz porządną karę.

Przez kilka następnych tygodni dręczyły mnie wizje groteskowo spuchniętych jąder oraz, w konsekwencji, sflaczały żywot impotent. Zanim zacząłem?! To niesprawiedliwe! Moją depresję dodatkowo pogłębiały szybkie ozdrowienie sióstr oraz ich nieustanne docinki. Los jednak mi sprzyjał. Choroba nie zaatakowała Południa.

- Pomyśl tylko, jak ucieszą się te wszystkie twoje dziewczyny, braciszku - drwiła Durré, która wiedziała o moich niepowodzeniach w sprawie Rozalii i Chandni.

W radiu ciągle śpiewali o urokach życia szesnastolatka. Zastanawiałem się, gdzie są te dziewczyny i chłopcy w moim wieku, którzy tak świetnie się bawią. Jeżdżą studebakerami z odkrywanym dachem po Ameryce? Bo na pewno nie w mojej dzielnicy. Tego lata Londyn, W8 należał do Sama Cooke'a: „Kolejna sobotnia noc...” Może na szczycie list przebojów królował jakiś hit o miłości, ale wraz z tym samotnym piosenkarzem byłem na samym dole tych list, marząc o dziewczynie etc., i naprawdę czułem się wyjątkowo podle.

9

- Synu, pospiesz się!

Mary obudziła mnie w środku nocy. Poganiała mnie półgłosem, aż w końcu udało jej się wyciągnąć mnie z łóżka i, ziewającego, w piżamie wyprowadzić na schody. Przed naszym mieszkaniem, pod ścianą, siedział skulony fan i płakał. Miał podbite oko i zakrzepłą krew na wargach.

- Co się stało?! - przerażony pytałem Mary.

- Ludzie - wyjął Pomyłony. - Grozili. Bili.

Tego wieczoru, kiedy siedział sobie w stróżówce, wpadł do niego wesoły maharadża P.

- Gdyby ktoś mnie szukał, jakieś podejrzane typy, to mnie nie ma! Okej? Nie wpuszczaj ich na górę. Okej? Spory napiwek, okej?

Nieco później zjawił się tam także stary maharadża B., mocno zaniepokojony.

- Słuchaj - zaczął. - Nie wiesz, gdzie się podziałem. Jasne? Może o mnie pytać jakiś łobuz. Nic nie wiesz. Wyjechałem za granicę. Jasne? Długa zagraniczna podróż. Stań na wysokości zadania, panie portierze. Sowita zapłata. Późną nocą rzeczywiście przyszło dwóch podejrzanych facetów. Okazało się, że włochaty księżę P. ma długi karciane.

- Nie ma. - Pomyłony uśmiechnął się jak najpromienniejszy. Faceci pokiwali głowami. Mieli długie włosy i grube wargi, jak Mick Jagger.

- Ten pan jest bardzo zajęty. Należało się umówić - zwrócił się pierwszy do drugiego. - Nie mówiłem ci, że trzeba się umówić?

- Mówiłeś - przyznał drugi. - „Te sprawy należy załatwiać elegancko, powiedziałaś. To członek rodziny królewskiej”. Masz rację, synu, przyznaję, popełniłem błąd. To moja wina.

- Zostawmy wizytówkę - zaproponował pierwszy. - Będzie wiedział, że go odwiedzimy.

- Świetnie - przyznał drugi i przyłożył Poplątanemu pięścią w twarz. - Przekaż mu tę wiadomość. - Tym razem wymierzył staremu cios w oko. - Jak wróci. Przypomnij mu.

Po tym wszystkim fan zamknął frontowe drzwi na klucz, lecz w jakiś czas później, już sporo po północy, ktoś zaczął się dobijać. Pomyłony zawołał:

- Kto tam?!

- Przyjaciele maharadży B. - odpowiedział mu jakiś głos. - Nie, to nieprawda. Znajomi.

- Maharadża bywa u naszej znajomej - wyjaśnił drugi.

- W tej właśnie sprawie pragniemy się z nim zobaczyć.

- Wyjechał. Odrzutowiec. Poleciał wysoko.

Cisza. Dopiero po chwili przerwał ją ten drugi.

- Trzeba latać, jak się wysoko mierzy. Biarritz, Monte Carlo...

- Proszę przekazać jego wysokości, że niecierpliwie oczekujemy jego powrotu.

- Chcemy porozmawiać o naszej wspólnej przyjaciółce. Koniecznie.

„Co robi zdezorientowany przeciwnik?” - to pytanie z podręcznika gry w szachy przyszło mi na myśl automatycznie. „Jak się bronić na tyłu frontach? Z której strony spadnie

cios? Popatrzmy, jak Mecir nęka Najdorfa, wyprowadzając atak to jednym skrzydłem, to drugim!”

Poplątany wrócił do siebie i mimo że tym razem nie doszło do użycia siły, rozpląkał się. Po jakimś czasie wjechał windą na czwarte piętro i szeptem, przez szparę na listy, obudził Absolutnie-Mary, która spała na macie w holu.

- Nie chciałam budzić sahiba - tłumaczyła się Mary. - Wiadomo, jaki ma problem, fawda? A fani jest taka zmęczona... Więc ty, synu, powiedz nam, co robić?

Czego oczekiwała ode mnie? Miałem szesnaście lat.

- Poplątany musi wezwać policję - zaproponowałem mało oryginalne wyjście.

- O, nie - odparła Absolutnie-Mary stanowczo. - Jeżeli fan zrobi skandal z takimi dżentelmenami, to w końcu i tak wszystko się na nim skruci.

Nie miałem lepszego pomysłu. Stałem pomiędzy nimi jak krety, czując na sobie ich wystraszone, błagalne spojrzenia.

- Idźcie spać - powiedziałem. - Jutro pomyślimy. - Ci dwaj, którzy przyszli pierwsi, są taktykami, ocenilem. Bywają kłopotliwi. Ale ci dwaj, którzy przyszli potem, są bardziej niebezpieczni, bo są strategami. Grozili zagrożeniem.

Rano nic się nie wydarzyło. Trudno było uwierzyć w rękoczyny i pogrożki pod drzwiami. W ciągu dnia obaj maharadzowie zapukali do mieszkania Poplątanego, by wsunąć mu pięćofuntowe banknoty do kieszonki kamizelki.

- Utrzymałeś nasz fort... - powiedział maharadza P. Maharadza B. uderzył w podobny ton:

- Super. Wszystko załatwione, co? Problem z głowy.

Po południu Mary, fan i ja odbyliśmy naradę wojenną, podczas której zdecydowaliśmy, że nie ma potrzeby podejmować dalszych działań. Portier, tłumaczyłem im, w takich sytuacjach zawsze jest na pierwszej linii, i nasz front nie został przełamany. Zagrożenie minęło. Mamy pewność. Historia skończona.

- Historia skończona - powtórzyła Absolutnie-Mary bez większego przekonania, lecz pragnąc wesprzeć Mecira, rozpromieniła się. - Tak jest. - powiedziała. - Absolutnie! Skończona, finis. - Zaklaskała. Zapytała go, czy z nią zagra. Po raz pierwszy odmówił.

Przemoc w najbliższym sąsiedztwie na czas jakiś odciągnęła moją uwagę od Absolutnie-Mary i Poplątanego.

Moja siostra Muneeza miała wtedy jedenaście lat i nieco za wcześnie zaczęła wchodzić w fazę buntu. Po ojcu odziedziczyła skłonność do napadów furii i gdy traciła panowanie nad sobą, nie było na nią sposobu. Tego lata świadomie prowokowała awantury z ojcem: mimo tak młodego wieku była gotowa się z nim zmierzyć. (Interweniowałem tylko raz, w kuchni. Chwyliła kuchenne nożyczki i cisnęła we mnie. Wbiły mi się w udo. Od tej pory trzymałem się z daleka.)

Obserwując ich zmagania, czułem, że sam oddalam się od idei życia rodzinnego. Patrzyłem na wrzeszczącą siostrę i myślałem o jej genialnie samobójczym nastawieniu, o tym, jak po mistrzowsku zrywa więzi z ludźmi, których najbardziej potrzebuje.

Spoglądałem na cholerycznego ojca, który straszył nas swoimi minami, i moje myśli kierowały się ku obywatelstwu brytyjskiemu. Indyjski paszport pozwalał mi podróżować zaledwie do kilku krajów, wymienionych na piątej stronie. Wkrótce zdobędę, za wszelką cenę, paszport brytyjski i uwolnię się od tego człowieka. Mam dosyć tych jego strasznych min.

W wieku szesnastu lat wyobrażamy sobie, że można uciec od własnego ojca. Nie słuchamy jego głosu, który wydobywa się naszymi ustami, nie widzimy, że nasze gesty są odbiciem jego gestów; nie dostrzegamy go w naszej postawie, ani w sposobie, w jaki się podpisujemy. Nie słyszymy jego szeptu w naszych żyłach.

Tego dnia, o którym chcę opowiedzieć, nasza dwuletnia siostra Scheherezade zaczęła płakać podczas kolejnej awantury, co często jej się zdarzało. Mama i Mary wsadziły ją do wózka i wyniosły się z domu. Wywiozły ją na Kensington Square, gdzie przysiadły na trawie, wypuściły dziecko i wdały się w rozmowę na poważne tematy. W końcu Szary Zadek zmęczyła się i zasnęła. O zmierzchu zebrały się do domu. Nieopodal Waverley House zaczęli je dwaj schludni młodzieńcy z fryzurami à la Beatles i w marynareczkach bez kołnierzyka. Jeden z nich bardzo uprzejmie zapytał moją matkę, czy przypadkiem nie jest małżonką maharadży B.

- Nie - odparła matka, mile podbechtana.

- Ależ tak, madame - upierał się drugi bitels, równie grzecznie. - Zmierza pani do Waverley House, a tam przecież mieszka maharadża B.

- Ależ nie - wyjaśniała matka - my jesteśmy z innej rodziny.

- Jasne. - Pierwszy bitels pokiwał głową ze zrozumieniem i, ku zdumieniu mojej matki, przytknął palec do nosa. - Aha, incognito. Ani słówka!

- Przepraszamy panów. - Matka traciła cierpliwość. - Panowie szukają kogo innego.

Drugi bitels delikatnie puknął butem w kółko wózka.

- Pani małżonek bywa w towarzystwie innych dam. Czy pani o tym wiadomo? Tak, tak. Zaleca się do nich.

- Nawet za bardzo - dodał pierwszy, spoglądając spode łba.

- Mówię przecież, że nie jestem maharani B. - Matka w końcu się zaniepokoiła. - Nie obchodzą mnie jej problemy. Proszę nas przepuścić.

Drugi mężczyzna przysunął się do niej. Poczwała jego oddech. Miętowy.

- Jedna z tych dam, u której często bawił, była, powiedzmy, naszą podopieczną - wyjaśnił. - Znajdowała się pod naszą opieką. Co oznacza, że my za nią odpowiadamy.

- Pani małżonek - wtrącił się pierwszy, przeraźliwie szczerząc zęby i nieco podnosząc głos - zniszczył towar. Rozumie pani, królowo? Uszkodził ten cholerny towar.

- Panowie pomylili osoby - przerwała mu Absolutnie-Mary. - W Waverley House mieszka dużo hinduskich rodzin. My jesteśmy frzyzwoitymi kobietami.

Drugi bitels wyjął coś z wewnętrznej kieszeni. Błysnęło ostrze.

- Cholerni kolorowi! Wpierdalacie się do nas i nie umiecie się zachować! Spierdalajcie do siebie! Tam się pierdolcie! A teraz - ściszył głos, unosząc nóż - rozpiąć bluzki...

W tej samej chwili w wejściu do Waverley House rozległ się głośny ryk. Oczom dwóch kobiet i dwóch mężczyzn ukazał się Poplątany, który krzycząc i wymachując ramionami jak obłąkany, zbiegał po schodach.

- Hello - powiedział bitels z nożem, nieco rozbawiony. - Któż to taki?!

Poplątany chciał coś powiedzieć, próbował z całych sił, lecz z jego ust wydobywał się jedynie niezrozumiały wrzask. Obudzona Scheherezade zaczęła mu wtórować. Faceci byli wyraźnie niezadowoleni. Niespodziewanie w starym coś zaskoczyło, coś się otworzyło, aż wyrzucił z siebie potok słów:

- Panowie, panowie, nie, to nie maharani B... Na trzecim piętrze, panowie, maharadża B... to prawda, przysięgam na grób matki!

Było to najdłuższe zdanie, jakie wypowiedział, od kiedy dawno temu wylew sparaliżował mu język.

Krzyk Pomyłonego i wrzaski Scheherezade sprawiły, że w oknach pokazały się głowy ciekawskich. Bitelsi z powagą pokiwali głowami.

- Zaszła pomyłka - oznajmił pierwszy przepaszającym tonem i nawet zgiął się w ukłonie przed swoją matką.

- Każdemu może się zdarzyć - rzucił ponuro drugi. Odwrócili się i ruszyli szybkim

krokiem. Mijając Mecira, zwolnili.

- Ciebie to my znamy - stwierdził ten z nożem. - „Odrzutowiec. Poleciał wysoko”. - Machnął nożem i w tej samej chwili Poplątany runął na chodnik z krwawą raną w brzuchu.
- Teraz będzie spokój - jęknął, po czym stracił przytomność.

11

Wyszedł ze szpitala przed Bożym Narodzeniem. List napisany przez matkę do właścicieli kamienicy, w którym nazwała Poplątanego „rycerzem w lśniącej zbroi”, sprawił, że znalazł się pod dobrą opieką i nie stracił posady. Wrócił do swojego pokoiku na parterze, podczas gdy obowiązki portiera pełnili na zmianę wynajęci ludzie. „Wszystko dla naszego bohatera”, zapewnił matkę właściciel domu w swoim liście.

Obaj maharadzowie z rodzinami wyprowadzili się przed moim przyjazdem do domu na ferie świąteczne, więc wizyty różnych bitelsów i stonsów już się nie powtórzyły. Absolutnie-Mary każdą wolną chwilę spędzała z Mecirem. Lecz ja martwiłem się bardziej o nią niż o niego. Postarzała się nagle i wyglądała tak krucho, jakby lada moment miała rozsypać się w proch.

- Nie chcieliśmy cię martwić - powiedziała matka. - Aja ma kłopoty z sercem. Palpitacje. Wprawdzie nie stale...

Kłopoty zdrowotne Mary zmobilizowały całą rodzinę. Muneeza przestała się awanturować i nawet ojciec się przejął. Postawili w salonie choinkę i zawiesili na niej przeróżne bombki. Widok ten, tak niezwykły w naszym domu, uświadomił mi powagę sytuacji.

W Wigilię matka zasugerowała, że sprawimy Mary przyjemność, śpiewając kolędy. Tata zrobił, odręcznie, sześć kopii tekstów. Kiedy doszliśmy do *O come, all ye faithful*, mogłem się popisać znajomością tej kolędy po łacinie. Wszyscy zachowywali się nienagannie. Kiedy Muneeza zasugerowała, byśmy zaśpiewali *Swinging on a Star* albo *I Wanna Hold Your Hand* zamiast tych nudnych kawałków, wiedzieliśmy, że to tylko żart. Tak wygląda życie rodzinne, pomyślałem. Na tym ono polega.

Ale my tylko odgrywaliśmy swoje role.

Kilka tygodni wcześniej, jeszcze w szkole, natknąłem się w kaplicy na chłopaka z Ameryki, gwiazdora szkolnej drużyny rugby. Płakał. Zapytałem go, co się stało, a on odparł, że zamordowano prezydenta Kennedy'ego.

- Nie wierzę - powiedziałem, ale czułem, że to prawda.

Nasz gwiazdor nie przestawał szlochać. Trzymałem go za rękę.

- Kiedy prezydent umiera, zostaje po nim osierocony naród - oświadczył przygnębionym tonem, powtarzając sentencję, którą usłyszał zapewne w Głosie Ameryki.

- Wiem, co czujesz - skłamałem. - Ja też niedawno straciłem ojca.

Kłopoty Mary z sercem okazały się tajemniczą sprawą: nagle się pojawiały i nagle znikały. Przez pół roku poddawano ją wszystkim możliwym badaniom, lecz za każdym razem lekarze niczego nie potrafili stwierdzić. Była zdrowa jak rydz, pomijając okresy, kiedy serce wyrывało jej się z piersi i stawało dęba jak konie w *Skłóconych z życiem*. Marilyn Monroe nie mogła znieść, że się je wiąże i pęta.

Z wiosną Mecir wrócił do pracy, ale wypadek odebrał mu chęć do życia. Rzadziej się uśmiechał, stracił błysk w oku, zamknął się w sobie. Mary również wsłuchiwała się w siebie. Nadal spotykali się przy herbacie, rogalikach i *Jaskiniowcach*, lecz to już nie było to samo.

Na początku lata Mary wystąpiła z oświadczeniem.

- Wiem, co mi dolega - powiedziała, wprawiając moich rodziców w bezgraniczne zdumienie. - Muszę wrócić do domu.

- Ależ, nianiu - tłumaczyła jej matka - tęsknota za domem nie jest prawdziwą chorobą.

- Bóg raczy wiedzieć, fo co frzyjechaliśmy do tego kraju - odparła Mary. - Nie mogę tu dłużej zostać. Absolutnie. - Jej decyzja była ostateczna.

To Anglia szarpała jej sercem, ponieważ nie była Indiami. Londyn ją zabijał, bo nie był Bombajem. A Poplątany? - zastanawiałem się. Czy fan też dokłada się do jej cierpień, ponieważ przestał być sobą? Może dwa odmienne afekty, które spętały jej serce, ciągną je w dwie przeciwne strony: ku Wschodowi i ku Zachodowi, a ono rzy i rzuca się jak te konie na filmie, szarpane w tę przez Clarka Gable'a i we w tę przez Montgomery'ego Clifta. Może Mary wiedziała, że musi dokonać wyboru, jeżeli ma żyć?

- Muszę jechać - stwierdziła Absolutnie-Mary. - Absolutnie, froszę fana. Wystarczy.

Tego lata, w roku 1964, skończyłem siedemnaście lat. Chandni wyjechała do Indii. Przyjaciółka Durré, Rozalia, poinformowała mnie nad kanapką na Oxford Street, że zamierza się zaręczyć z „prawdziwym mężczyzną”, więc nie mam co marzyć, że nadal będę się z nią spotykał, ponieważ ten Zbigniew jest zazdrosnym facetem. Kiedy schodziłem do metra, w głowie miałem *It's Over* Roya Orbisona, mimo że tak naprawdę jeszcze nic się nie zaczęło.

Absolutnie-Mary pożegnała nas w połowie lipca. Ojciec kupił jej bilet do Bombaju.

Smutek końca zawisł ciężko nad tym ostatnim porankiem. Kiedy znosiliśmy jej bagaże do samochodu, nie zastaliśmy na parterze Mecira, portiera. Mary nie zapukała do jego mieszkania, lecz przeszła prosto przez hol ze świeżo oczyszczoną boazerią i lśniącymi lustrami, wsiadła do naszego forda zodiaka i trzymając na kolanach neseser, utkwiała wzrok w przedniej szybie. Znałem ją i kochałem od dziecka. „Nieważny ten twój cholerny fan”, miałem ochotę krzyknąć, „co będzie ze mną?!”

Jak się okazało, diagnoza Mary była słuszna. Od kiedy znalazła się w Bombaju, serce nie dokuczyło jej ani razu i - co potwierdził list od Stelli - w wieku lat dziewięćdziesięciu jeden wciąż trzymała się krzepko.

Niedługo potem ojciec stwierdził, że należy się przenieść do Pakistanu. Jak zawsze, nie było żadnych rozmów, wyjaśnień, po prostu należało mu zaufać. Wypowiedział umowę na mieszkanie w Waverley House z końcem wakacji, po czym oni pojechali do Karaczi, a ja wróciłem do szkoły.

Tamtego roku dostałem obywatelstwo brytyjskie. Myślę, że poszczęściło mi się dzięki wstawiennictwu Doda, pomimo owej pamiętnej partii szachów. Nowy paszport, pod wieloma względami, otworzył mi drogę do wolności. Mogłem jeździć tam i z powrotem, podejmować wybory, których nie aprobowałby ojciec. Niemniej jednak ja także, po dziś dzień, czuję na szyi powrozy, które ciągną mnie tu i tam, ku Wschodowi i ku Zachodowi. Pętla zaciskają się i każą wybierać.

Brykam, parskam, rżę, staję dęba, rozdaję kopniaki. Więzy, nie będę wybierał pomiędzy wami! Liny, lassa, nie wybieram żadnego z was, wybieram i jedno, i drugie! Słyszycie? Nie będę wybierał!

Mniej więcej rok później znalazłem się w pobliżu Waverley House, więc postanowiłem się dowiedzieć, co porabia nasz fan. Może zagramy w szachy, pomyślałem, a on znowu da mi wycisk. Hol był pusty, więc zapukałem do drzwi stróżówki. Otworzył mi jakiś obcy człowiek.

- Gdzie jest Popłątany?! - zdumiałem się. Zażenowany natychmiast przeprosiłem nieznajomego. - Pan Mecir. Portier.

- Ja tu jestem portierem - odparł. - Nic mi nie wiadomo, żeby się coś popłatało.

SPIS TREŚCI

WSCHÓD

Dobra rada jest cenniejsza od rubinów

Nagroda

Włos Proroka

ZACHÓD

Yorick

Na aukcji rubinowych pantofelków

Krzysztof Kolumb & królowa Hiszpanii Izabela konsumują swój romans (Santa Fe, AD 1492)

WSCHÓD, ZACHÓD

Harmonia sfer

Chekov i Zulu

Fan